Wrzesień-Październik 1934

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

TRYBUNA POLSKIEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

TOM XXXIX

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11, m. 8, TELEFON 9-27-61

Drukarnia Mazowiecka, Warszawa, Szpitalna 1. Telefon 649-04.

T R E Ś Ć

DWA ARTYKUŁY.

„CIURY“ I „SPIRYTYŚCI“.

Brzmią nam jeszcze w uszach — i brzmieć będą długo—słowa b. premjera Prystora, wypowiedziane z rewelacyjną otwartością na wiosennym zjeździe instrukcyjnym gospodarczych działaczy Bloku Bezpartyjnego. Warto i trzeba treść i sens tego charakterystycznego przemówienia wzbudzić w pamięci naszych czytelników — a wśród nich zwłaszcza naszych specjalnych zwolenników — aby ich opancerzyć przeciw gangrenującemu wpływowi „bezwolnej i bezczynnej“ współpracy z Rządem, jaki od szeregu lat wieje istotnie w różnych szeregach ludzi, którzy nietyle z przekonania, ile raczej — powiedzmy śmiało — ze strachu lub dla poziomego, materjalnego interesu opowiedzieli się z nadmierną skwapliwością za zwycięskim reżimem Naprawy Rzeczypospolitej, chowając głęboko do szafy swą przeszłość, swe właściwe przekonania lub swój jeszcze właściwszy — brak wszelkich przekonań, zastąpiony naprędce hasłem t. zw. „zdrowego oportunizmu“.

A są w tych szeregach ludzie wielcy i mali, to jest zarówno tacy, których bezkrytyczna dziennikarska terminologja zwykła cytować na swych szpaltach jako „wybitnych“, jak i różne maleńkie robaczki, do niedawna zjadliwe i szkodliwe, które, ustosunkowawszy się raz, dwa, trzy „pozytywnie“ wobec panującego reżimu, sądzą w chytrej naiwności, że nastały teraz przez to właśnie dla nich „dobre, dawne, złote czasy“.

Wiadrem mrożącej wody oblewa jednych i drugich mowa p. Prystora, a w ślad za nią artykuł „Gazety Polskiej“ z 9-go maja r. b. pod wymownym tytułem: „Ciury“.

Przytaczamy go in extenso.

„W czem tkwi siła naszego obozu? Siła obozu piłsudczyków tkwi w przyjęciu przez zespół ludzi, którzy obóz ów stanowią, j e d n e j tylko miary do oceny wszystkich zjawisk życia publicznego — miary polskiej racji stanu. Wielkie i zwycięskie ż y c i e Piłsudskiego, będące bezustannem odrzucaniem wszelkiego kompromisu pomiędzy dobrem i honorem narodu — a jakąkolwiek pokusą — jest tym przykładem, co pouczył i nas i Polskę całą, że suche słowa „racja stanu“ nie są słowami tylko, lecz rzeczywistością tak bardzo prawdziwą, tak dotykalną, że można za nią broczyć krwią, gnić w więzieniach i walczyć wtedy nawet, gdy wszelka nadzieja zdawała się być stracona...

„Co pewien czas trzeba przypominać tę prawdę. Trzeba przypominać, gdyż dla wielu ludzi o innych tradycjach i innej duszy nie jesteśmy obozem o pewnem, określonem i wyraźnem kryterjum życia publcznego — lecz zwyczajnie obozem z w y c i ę s k i m. Ci ludzie nie przychodzą z nami w s p ó ł p r a c o w a ć, jeno przychodzą s ł u ż y ć, nie próbują myśleć, tylko starają się kłaniać, nie rozumieją, że tem, co obóz spaja — jest wspólna wiara, nie wspólne parady.

„Dlatego dobrze się stało, iż w onegdajszem przemówieniu, wygłoszonem przez b. premjera Aleksandra Prystora, rozległ się głos ostrzeżenia, skierowany do owych żarliwych „zelantów“, których nie brak nigdy — bo nie brak ciurów na tyłach zwycięskiej armji. I słowa jego, jak zawsze — napewno nie zostały wypowiedziane bez uprzedniego, dojrzałego przemyślenia.

„Dobrze się stało, bo ciurom poczęło przewracać się w głowie. Niestety — nie wszędzie i niezawsze trafiali na odpór, jaki dają charakter i odwaga. Nie każdy „sięgał kija“, aby ich odpędzić. Ruchliwi, zwinni, o sobie i swojem powodzeniu myślący przedewszystkiem — maruderzy każdego zwycięstwa nauczyli się łatwo stroić w szaty ultra-gorliwości, ultra-lojalności, ultra-zapału, aby, jak to

zawsze ciury — łatwym kosztem kałdun sobie wypchać i na szlify oficerskie mocnym pyskiem zasłużyć. Zaczęli już tam i ówdzie i w dziesiątem miejscu dochodzić do głosu. I dlatego potrzebne były te słowa, które premjer Prystor z tym wielkim autorytetem, jaki stwarza jego nazwisko — wypowiedział.

„Bo ciury są szkodliwe. Stają, jak zapora, pomiędzy społeczeństwem a obozem, pomiędzy ludem i Rządem, pomiędzy Wodzem i Narodem. Wykrzywiają wszystko w krzywem zwierciadle swojej lokajskiej duszy i psuć potrafią najlepsze poczynania.

„Czy nie jest szkodliwy „działacz", co „inicjuje" pomnik, licząc, że w ten sposób zasłuży na względy? Czy nie jest szkodliwy wizytator, który „nie jest zadowolony", kiedy 11-letni bąk, na pytanie, jaki miał najprzyjemniejszy dzień w roku, odpowiada „Gwiazdka", zamiast 19 marca? Czy nie jest szkodliwy kierownik przedsiębiorstwa państwowego, odsyłający zgłaszających się o miejsce, aby przyszli nie z dyplomami, lecz z „poparciem"? Czy nie jest szkodliwy adwokat, który bierze pensję radcy prawnego nic nie robiąc, ponieważ rzekomo „ma stosunki"? Czy nie jest szkodliwy „strohmann", zasiadający w radzie nadzorczej zagranicznego i łajdackiego przedsiębiorstwa — z tej racji, że się afiszuje w towarzystwie „wysoko postawionych osób"?

„Oto są ciury, wlokące się z tyłu za naszym obozem. Premjer Prystor wskazał, jak trzeba, jak powinniśmy z nimi postępować: „sięgać po kij i pędzić precz!" Istotnie — jedyna to rada. Bowiem tacy właśnie ludzie, przyklejeni do tej pracy, jaką mamy do przerobienia, hamują ją, opóźniają, wykrzywiają i paczą — gorzej, niźli przeciwnicy. Ciury są niebezpieczne. Bowiem przez swe karykaturalne gesty ośmieszają i osłabiają to, co jest zawsze główną siłą dynamiczną każdego ruchu — uczucie. Gdyż ciury nie

rozumieją, że lokajstwo nie jest wiernością, ani że chamstwo nie oznacza siły charakteru.

„Obóz nasz ma Wodza. Ma więc instancję r o z s t r z y g a j ą c ą wówczas, gdy wątpliwości wewnętrzne w sprawach najważniejszych wymagają rozwiązania, ma w s k a z a n i a, dotyczące wielkich, zasadniczych linji polityki polskiej. Lecz pozatem pozostaje zawsze olbrzymi zakres codziennej pracy, którą zbiorowość musi w y p e ł n i ć własnym dorobkiem, owe potężne ramy, które na kilka pokoleń zakreśliły myśli i wysiłek Piłsudskiego. Ale rzetelnym dorobkiem potrafią te ramy wypełnić tylko c h a r a k t e r y. A ciury i lokaje wypełniają je śmieciami i próchnem. Dlatego t r z e b a ich „pędzić“. To nie jest tylko odruch wstrętu. To jest o b o w i ą z e k“.

Tak więc z początkiem maja 1934-go roku osadził reżim panujący wielu swych nazbyt rozentuzjazmowanych prozelitów na miejsca i zapędza ich we właściwy kąt — gdzie należą.

Możemy temu tylko przyklasnąć, zarazem wyrazić jednak oczywiste życzenie, aby zapowiedzi powyższego artykułu „Gazety Polskiej“ nie pozostały owym słynnym „świstkiem papieru“, ale aby całe społeczeństwo widziało, że w czyn wprowadzane będą z nieugiętą konsekwencją. Nechże społeczeństwo polskie — a zwłaszcza wszystkie partje polityczne — nie szepcą sobie na ucho po kątach, że ten czy ów spryciarz zdobywa sobie wpływy i stanowisko li tylko dlatego, że zna dobrze sztukę wśrubowywania się, gdzie należy i płaszczenia się, jak asfalt na ulicy, przed kim należy. Niechże takich wypadków, nawet sporadycznych, więcej nie będzie, tem bardziej, że najużyteczniejsi nieraz dla kraju i panującego reżimu ludzie tej sztuki wcale nie znają lub n i e c h c ą p r a k t y k o w a ć, ceniąc odpowiednio godność własną!

Ale, jeżeli mowa p. Prystora i artykuł „Gazety Polskiej“ były dla wielu przyjemną lub przykrą rewelacją, to

nie były nią bynajmniej dla grona ludzi, skupionych w pracy dokoła „Naszej Przyszłości". My bowiem przyjęliśmy je tylko z zadowoleniem do wiadomości, jako zapowiedź zdrowego, energicznego prądu, który w szerokim rozwoju akcji B. B. W. R. musiał się w pewnym momencie zrodzić na tle rozumnej refleksji. A że przewidywaliśmy oddawna nadejście takiego momentu, takiego pogromu hiperentuzjastycznych kalkulacji różnych wielkich i małych oportunistów, którzy bez własnej oryginalnej pracy, a li tylko „pozytywnem ustosunkowaniem się" do reżimu pomajowego wyobrażali sobie osiągnięcie złotych czasów i wywczasów, tego dowodem artykuł D-ra J. Bobrzyńskigo, zamieszczony w „Dniu Polskim" 3-go listopada 1927 r., a więc jeszcze w młodzieńczym, pełnym okresie „radosnej twórczość", która niesamowitym szałem ogarnęła mózgi wielu niemniej radosnych oportunistów. Nawiasem mówiąc, artykuł ten — obok szeregu innych, niemniej wymownych — ukazał się w „Dniu Polskim" w owej krótkiej, kilkomiesięcznej zaledwie epoce, gdy dziennik ten znajdował się chwilowo pod kierunkiem grupy ludzi, którzy w parę lat potem zbudowali programowe podwaliny „Naszej Przyszłości".

Artykuł ten, pod tytułem „Spirytyści", brzmiał dosłownie, jak następuje [1]).

„Marszałek Piłsudski, obalając i kompromitując w opinji publicznej zachłanną, demagogiczną partjokrację, wezwał społeczeństwo milczącym gestem do przeprowadzenia rachunku sumienia i wyłonienia z siebie samodzielnym odruchem sił lepszych, prawdziwie państwowo-twórczych. Można się zgadzać z tem lub sprzeczać, czy metoda pozostawienia społeczeństwa w danych warunkach

---

[1]) Patrz ten artykuł także w zbiorowem wydaniu kilkudziesięciu artykułów prasowych politycznych i polityczno-gospodarczych w książce D-ra Bobrzyńskiego p. t. „Na drodze walki", Warszawa 1928, skład główny w księgarni F. Hoesicka.

autonomicznemu procesowi przefermentowania jest trafną, czy nie lepiej byłoby wskazać mu odrazu prostą, jasną drogę reform i programu? Czy politycznie nie wyszkolone społeczeństwo, w którem wre walka klasowa i narodowościowa, zdoła istotnie samo znaleźć właściwą drogę? Czy tajemniczość pociągnięć i zakonspirowanie programu są tem właśnie, czego zbiedzony i zdezorjentowany naród, łaknący silnej, a zdecydowanej dyrektywy, istotnie potrzebuje? Czy tolerowanie zbyt wielu „nieprawości" i niebezpiecznych eksperymentów w czasie przejściowym nie przeciąga zanadto struny i nie podważa najlepszych zamiarów sanacyjnych?

„O tem wszystkiem można szeroko dyskutować. Niemniej jest prawdą, że obecna dyktatura zostawiła pole dla samorzutnej ekspansji sił twórczych różnych warstw społeczeństwa i ujawnienia ich prawdziwej tężyzny i mocy żywotnej, co poprzednio tłumione było celowo przez stronnictwa sejmowładcze. Jest to jakgdyby generalna rewja sił, na których przyszłe reformy i ustrój państwa mają się oprzeć.

„Tej powierzonej roli nie rozumieją ci wszyscy, którzy, założywszy ręce, oczekują cudów od rządu i całe swe zadanie pojmują tylko w formie „życzliwej neutralności" lub „pełnego zaufania" lub wreszcie „całkowitego oddania się", skierowanego pod adresem czy to Marszałka, czy rządu wogóle. Zaiste bardzo łatwą i wygodną obrali sobie rolę! Niewiadomo tylko, czy dużo przyjdzie z ich „życzliwości" zarówno marszałkowi, jak rządowi i państwu?

„Dowcipnie ktoś powiedział, że są to spirytyści, którzy — w braku na serjo programu i zajęcia — siadają do stolika, aby wywołać jakieś cudotwórcze moce, które za nich wszystko mają zrobić. Oczywiście za nich i dla nich, bo przecie oni są „życzliwie neutralni", ba, nawet „całkowicie oddani". Przy Tobie stoimy i stać chcemy, ale Ty zrób za nas wszystko i daj nam wszystko! Niech dzie-

więćdziesiąt dziewięć procent społeczeństwa będzie zapatrywań odmiennych, niech szerokie warstwy czekają na dyrektywy i kotłują się w fermencie, niech naprawa państwa się przeciąga, to nic nie szkodzi — bo On przecież wszystko za nas zrobi, a dla nas wówczas mandaty i zaszczyty! — Narazie wystarczy, że jesteśmy z Nim „w kontakcie“ i służymy Mu „życzliwą, rzeczową krytyką“.

„Nie wiem, jakiego ducha zmaterjalizują w końcu ci panowie, ale to pewna, że ich czeka srogie rozczarowanie. W każdym razie co do mandatów i zaszczytów. Wszak już i obecnie zmieniają conajmniej dwa razy na dzień zdanie w stosunku do panującego reżimu, zależne od tego, czy sądzą być chwilowo bliżsi lub dalsi od spełnienia swych nadziei. A są i tacy, którzy chwilowo zdania nie zmieniają, ale utworzywszy jakąś grupę czy grupkę i ogłosiwszy swe „ustosunkowanie się“ do rządu, trwają przy swojem, w nadziei, że przecież za długotrwałą, wierną służbę wyczekiwawczą coś w końcu z góry im przypadnie.

„Tak to pojmują ludzie swą rolę państwowo-twórczą! I czują się w niej olbrzymami, na których barkach oprzeć się ma dzieło Naprawy Rzeczypospolitej!!

„Nie brak takich „spirytystów“ w różnych warstwach społeczeństwa, nie brak ich nawet wśród zachowawców, chociaż po nich więcej wytrawnego sądu, niezależności i twórczej aktywności możnaby się spodziewać. A nawet, rzecz można, stają się w swych porywach i nadziejach coraz gorętsi. Zwłaszcza po dojściu do skutku pożyczki zagranicznej temperatura seansów doszło do wrzenia. Tak, teraz nastąpi oczekiwana „materjalizacja“. Tylko dalej wyczekiwać i życzliwie się ustosunkowywać. Nur durchhalten!!

„Mamy wrażenie, że tu wielka zachodzi pomyłka. Usługę oddaje się sprawie nie życzliwem ustosunkowaniem się, ale czynem. A już co do konserwatyzmu, to najmniejszej nie ulega wątpliwości, że tyle wart będzie w oczach

rządu i społeczeństwa, o ile będzie niezależny i samodzielnie twórczy, o ile wykaże zmysł orjentacyjny i siłę żywotną, którą innych pociągnie za sobą. Konserwatyzmu oportunistycznego, nadskakującego, ciągnącego biernie za czyimś rydwanem, nikt nie potrzebuje. Traci wówczas odrazu całą swą wartość i znaczenie. Zresztą jest nawet za ciężki w nadskakiwaniu. Inni go w tem stanowczo przelicytują. Szkoda więc zachodu.

„Konserwatyzm jest i powinien pozostać światopoglądem realnym. Siłę swą czerpie i powinien czerpać tylko sam ze siebie. Może być tylko czynnikiem dającym, a nie biorącym. To jego rola i racja bytu w państwie. Tego też wszyscy od niego oczekują. W innej roli nie jest mu do twarzy i każdy krok, poza własnym stawiany programem, bywa niezręczny i sprowadza go na manowce. Ma dość własnych, potężnych walorów intelektualnych i materjalnych. Nie powinien szukać piastunki nawet w państwie monarchistycznem, a cóż dopiero w republice. I dlatego nie powinien tracić czasu na wywoływanie tajemnych sił pomocniczych, ale zrobić swoje. Ale w tym celu niech się zajmie przedewszystkiem samym sobą i swem zadaniem, póki czas i korzystna konjunktura, a pozostawi innym zakonspirowane rachuby i marzenia.

„I jedna jeszcze skromna uwaga. Aż zabawne, ilu mamy dzisiaj zagorzałych piłsudczyków! Iluż sztandarowych ongiś endeków, piastowców i im pokrewnych wszystkoby oddało, nie wyłączając przekonań partyjnych, byle tylko móc znaleźć choćby najwęższą ścieżynkę do Belwederu! Co chwila ktoś ogłasza, waląc się pięścią w piersi: Bo to ja, panie dobrodzieju, jestem stuprocentowym piłsudczykiem!

„Za pozwoleniem. Być piłsudczykiem d z i s i a j, gdy obecny kierunek zwyciężył, gdy owładnął nawet moralnie znaczną już większość narodu, gdy wzmocnił podwaliny gospodarcze państwa i autorytet swój w kraju i zagrani-

cą — to żadna sztuka. To też krzykliwe, entuzjastyczne oświadczenia świeżych adeptów zwycięskiego kierunku nikogo chyba nie zbałamucą. Bo trzeba było być zwolennikiem czynu, którego hasło dał Piłsudski wówczas, gdy czyn ten przedstawiał sto procent hazardu, gdy trzy mocarstwa zaborcze i olbrzymia większość własnego społeczeństwa była przeciw niemu. Ale ci, którzy wówczas z samozaparciem za tym czynem stali, nie bacząc na ciężkie przeszkody, ani na to, że ich ta wiara w politykę czynu na długie lata z widowni może usunąć i naznaczyć piętnem proskrypcji — ci nie trąbią dzisiaj na tryumf i nie ofiarują się nikomu z hałaśliwem zaufaniem czy ustosunkowaniem. Bo dla nich nie istnieją kwestje personalne, ani względy oportunizmu, ale tylko realna praca dla kraju w każdych okolicznościach i warunkach. Tak było lat temu sześćdziesiąt, tak było w czasie wojny, tak jest dzisiaj i tak będzie jutro. I dlatego nie mają potrzeby na gwałt do kogokolwiek się ustosunkowywać. Każdy wie dobrze, że w realnej, czynnej współpracy dla dobra państwa, o ile im się ją umożliwi, nikogo nie zawiodą, ani nie zrażą się przygodnemi przeciwnościami. Ale wie również, że są pewne granice, których za żadną cenę nie przekroczą i chociaż stają zawsze z wiarą i ochotą po stronie śmiałych, twórczych zamierzeń, nie targując się o gwarancje sukcesu, to jednak przekonań swych nikomu na kredyt nie oddadzą.

I ci też nie mają potrzeby zajmować się siprytyzmem".

Warto przypomnieć na tem miejscu jeszcze wymowną enuncjację Marszałka Piłsudskiego, zamieszczoną kilka lat temu w gazetach pod charakterystycznym a dosadnym nagłówkiem: „Dureńki". Piętnuje w niej Marszałek także właśnie tych swoich, świeżo wówczas upieczonych „zwolenników", którzy sądzą w przedwczesnem spryciarstwie, że wystarczy „ustosunkować się pozytywnie" do reżimu pomajowego i wygłaszać od czasu do czasu prorządowe frazesy, aby osiągnąć wszelakie korzyści, mandaty i za-

szczyty bez żadnego trudu. Wyraźnie zapowiada Autor, że dla takich leniuchów i oportunistów kasztanów z pieca wyciągać nie będzie.

Chyba dość na tem! Powinni ludzie w Polsce raz nareszcie zrozumieć, że ten ustawiczny, ultra-bałwochwalczy, a równocześnie obrzydliwie spryciarski i geszefciarski taniec dokoła Rządu, czy różnych poszczególnych wybitniejszych osób oficjalnych żadnych trwałych rezultatów im nie przyniesie, nadziei nie spełni, niejednemu gorzki przyniesie zawód, a nadto sprzeczny jest z najprymitywniejszem choćby pojęciem godności osobistej. Tacy tancerze muszą przecież szybko zgrać się w opinji poważnych czynników rządowych. Może chwilowo powiedzie się komuś takiemu metodą zręcznego płaszczenia się i nadskakiwania zyskać istotnie jakąś funkcję — której znaczenie stanowczo sobie przecenia — gdyż rząd każdego kraju, mając do czynienia z tysiącznemi potrzebami realnego, poziomego życia, musi — w braku czegoś lepszego — posługiwać się niekiedy dla drobiazgowych celów i trzeciorzędnemi figurami. Niemasz niestety nigdzie nadmiaru elity. Ale jasnem jest, że każdy rząd takich służalców niebardzo ceni i każdy człowiek na serjo conajwięcej ze znaczącym uśmiechem o nich się wyraża.

Ale nie w tem — w napiętnowaniu płytkiego oportunizmu i leniwego karjerowiczostwa — leży dla nas sedno rzeczy. Chodzi o rzecz daleko doniośIejszą dla sprawy tężyzny narodowej i rozwoju prawdziwej potęgi państwa. Chodzi o to, aby oprócz rządu, czy — nazwijmy to szerzej — panującego reżimu, powstali w państwie także prywatni, konstruktywnie myślący i samodzielnie pracujący ludzie w możliwie jak największej liczbie. Niech ci ludzie liczą się oczywiście z ogólnemi wytycznemi dążeń i polityki rządowej w różnych kierunkach, niech starają się je poznać, pewnym wpływem swoim zbiorowym na nich zaważyć, drogi swe z owemi oficjalnemi wytycznemi sparalelizować—

dobrze, ale niech będą sami sobą, niech nie zatracają swego konstruktywnego indywidualizmu i godności własnej, a przedewszystkiem: niech pracują, nie czekając leniwie i biernie, aż rząd rzekomo wszystko za nich i dla nich wykona!

Żyjemy w Polsce obecnie w jakiejś atmosferze głupiego strachu przed własnym cieniem. Niezmiernie trudno pociągnąć nawet „dzielniejszych“ ludzi do jakiejś samodzielnej, aktualnej a konsekwentnej roboty w jakimkolwiek kierunku. Na stu 99 wymawia się od niej i wymyka pod różnymi pozorami. I dopiero, gdy się dowiedzą, że jakaś wybitna, wpływowa osobistość oficjalna, czy półoficjalna, aprobuje głośno daną sprawę i zadeklaruje w niej współudział, run czyni się do tego przedsięwzięcia ze wszystkich stron i opędzić się nie można „entuzjastycznym“ deklaracjom akcesu. Nikt — albo rzadko kto — nie chce angażować się dla samej sprawy, natomiast każdy niemal węszy naprzód, jak ta sprawa jest w miarodajnych miejscach oficjalnych „widziana“. Aż obrzydzenie zbiera na ten widok — niestety codzienny!

Naród, nawet najbardziej dyscyplinowany, jeżeli chce istnieć i rozwijać się trwale, nie może być stadem. Nie wolno mu być stadem, bezmyślnem, płochliwem, węszącem tylko za sianem, które mu pasterz przedłoży. Musi istnieć w tęgiem społeczeństwie pewna naturalna elita, możliwie liczna, wszechstanowa i wszechzawodowa, nobilitująca się nie przodkami, herbami i bez zasługi odziedziczonemi dobrami materjalnemi — bo to wszystko, w dzisiejszych warunkach samo przez się niczego jeszcze nie dowodzi — ale tężyzną duchową, kulturą, doświadczeniem, aktywnością i zdolnością do samodzielnej, konstruktywnej pracy.

Powstania, a raczej ujawnienia się i pewnego zorganizowania w pracy zbiorowej, takiej elity koniecznie dzisiaj Polsce potrzeba. Niewątpliwie potrzeba jej tak-

że i rządowi, bo — powtarzamy to raz jeszcze w tem piśmie — żadne rządy z bezwolnem stadem społecznem à la longue skutecznie krajem rządzić nie mogą. Każdy rząd, nawet najbardziej dyktatorski i apodyktyczny, jest jednak tandem tedy emanacją danego społeczeństwa. Może więc ciągnąć je przez pewien czas za uszy w pewnych kierunkach — i w pewnych momentach historycznych nawet musi — ale niepodobna myśleć na serjo o ciągnięciu bezterminowo w ten sposób bezwolnego stada, które, poza załatwianiem doraźnych spraw codziennego żeru, nie chce, czy boi się myśleć samodzielnie o sobie, o kraju i o prawdziwie doniosłych zagadnieniach na nieco dalszą metę.

I pod tym właśnie względem istnieje zasadnicza, kapitalna różnica mentalności i taktyki między grupą „Naszej Przyszłości", organizującą się obecnie — jak wiadomo — w statutowo określony „Związek Polskiej Myśli Państwowej", a wielu sferami społeczeństwa polskiego, które zasadami swemi społeczno-politycznemi są do nas mniej lub więcej zbliżone. Różnica ta, o przepastnych rozmiarach, leży w tem, że tamte różne sfery chcą wiecznie tylko politykować, bez żadnych pragmatycznych z tego politykowania konsekwencji, my zaś wcale nie chcemy politykować, a natomiast pracować pozytywnie, samodzielnie, w kierunku realizacji pewnych określonych zadań konkretnych. W związku z tem chcą tamci ograniczać się tylko do stosunkowo rzadkich okazji wykonania jakiegoś przypadkowego zadania doraźnego, „poleconego z góry", pozostając pozatem w stanie oportunistycznego wyczekiwania na wypadki i konjunktury, die da kommen sollen, gdy my tymczasem stawiamy sobie sami, opracowujemy i propagujemy pewne państwowe cele, wewnętrzno i zewnętrzno-krajowe, które realizujemy własną inicjatywą, starając się tylko o należyte informacje, gdzie należy, aby w różnych trudnych sprawach nie schodzić na manowce.

I dziwne zrobiliśmy na tej drodze spostrzeżenie. Ma-

my wielu przeciwników i to właśnie przeciwników naszej ideologji samodzielnej, konkretnej pracy. Wielu nam zazdrości, ale czego? Oczywiście nie zaszczytów i mandatów i nie dóbr materjalnych, bo tych nadmiarem nie możemy się chyba pochlubić, ale zazdroszczą nam poprostu: realnego programu pracy i tego wogóle, że coś samodzielnie robimy.

Dziwne, zaiste, czasy i dziwni ludzie!

A tymczasem bieg życia i wypadków coraz bardziej rację nam przyznaje. Walą się w gruzy materjalnie, a co gorsza moralnie, te wszystkie czynniki w społeczeństwie i te wszystkie ich instytucje i organizacje, które do niedawna pospolita opinja publiczna, na fałszywych, materjalistycznych i snobistycznych przesłankach wychowana, przyzwyczajona była uważać za społeczną elitę. Elita tego rodzaju, na tych przesłankach oparta, stanowczo przegrała już w kraju i w XX wieku wogóle. Nie chcemy tu wchodzić w szczegóły i przytaczać dowodów, mnożących się w zastraszającym pędzie, a wydobywających na wierzch rewelacyjne przepaści kompletnej degeneracji, niezdolności twórczej i — co więcej — etycznego upadku różnych sfer, przed któremi ulica, mimo wszelkiej demokratyzacji, przyzwyczajona była kapelusz lub czapkę zdejmować.

Teraz dopiero różni czytelnicy „Naszej Przyszłości“, orjentujący sę dobrze w sytuacji, będą mogli zrozumieć, dlaczego „Nasza Przyszłość“ zajęła od kilku lat, niemal od początku swego istnienia, coraz bardziej krytyczne stanowisko wobec tych właśnie różnych sfer społeczeństwa, którym zwykł kłaniać się człowiek z ulicy, a których pozycja w trzeźwych warunkach XX wieku na fałszywych, już nieaktualnych oparła się przesłankach, pretensjach i wyobrażeniach i które dlatego musiały nieuchronnym wyrokiem historji wpaść najpierw w skrajny oportunizm, potem w marazm, wreście w zupełny rozkład i upadek.

Przeżywamy w tej chwili moment kolosalnego rozczarowania wobec zastraszającego upadku dotychczasowej elity polskiego społeczeństwa. Rozczarował się rząd, który do niej sięgnął w najlepszych zamiarach, nie bacząc, że przez to naraża na szwank swą popularność w szerokich masach robotniczo-włościańskich. Ale rozczarowały się także te właśnie masy, doznał też gorżkiego rozczarowania cały istniejący jednak jeszcze w Polsce świat naprawdę myślącego intelektu. Doznały temsamem potężnego niestety bodźca różne prorządowe sfery radykalne, które teraz łatwo mogą tryumfować i ciągnąć wszelkiemi siłami nastawienie opinji publicznej na lewo. Bo i jakże tu mówić o użyteczności prawicowego kierunku w państwie, jeżeli jeden odłam społeczeństwa, mianujący się (słusznie czy niesłusznie) prawicą, staje w zasadniczej opozycji przeciw wszystkiemu, co robi rząd polski od lat ośmiu i przez to pracuje mimowili na rzecz wszystkich wrogów państwa, a drugi odłam przynosi conajmniej kolosalne rozczarowanie!

Nic dziwnego, że w takiej sytuacji różni projektodawcy naprawy ustroju starają się wszelkim sposobem stwarzać jakąkolwiek inną elitę w państwie, choćby orderową. Pomysł logicznie chybiony, ale w danych, prawdziwie rozpaczliwych warunkach trudno mu się dziwić. Bo wszystko lepsze od bezmyślnego, skrajnie oportunistycznego, a społecznie biernego snobizmu, niezdolnego do prawdziwie twórczej pracy i wykazującego coraz wyraźniejsze znamiona degeneracji.

Nasza Przyszłość tryumfuje. Smutny to zaiste tryumf i prawdę mówiąc, wolelibyśmy dla dobra sprawy ulec, niż w ten sposób i w tych warunkach tryumfować!

Ale my się nie damy! Nie poddamy się przedewszystkiem obecnemu upadkowi naturalnej elity w kraju, która przegrała wszędzie — wobec rządu, społeczeństwa i młodzieży, nie mówiąc już o swej wielkiej roli gospodarczej,

gdzie zamiast odpowiedniego nacisku na bieg spraw, płodziła tylko coraz więcej kosztownych prezesów i niemniej kosztowne nadbudówki. Możemy, na szczęście, powołać się na całą naszą, prawie już pięcioletnią działalność i na wydanych w tym okresie już przeszło 40 obszernych tomów pisma (bo niektóre podwójne), że oddawna bardzo dosadnie, lapidarnie, prawdziwie „stańczykowskim" językiem piętnowaliśmy oportunizm i snobizm elity i wzywaliśmy ją do podjęcia jej właściwej roli i to nie na zamierającym terenie sejmokracji i aktualistycznego, jałowego politykowania, ale na terenie konsekwentnego pełnienia pewnych doniosłych zadań społecznych i państwowych. Jeszcze dziś nie uważamy roli tej elity za przegraną. Jeżeli szlachta ziemska i wyższe sfery gospodarczego intelektu odrzucą fetysze snobizmu i dystyngowanego oportunizmu, jeżeli zdobędą się na reformę swych mózgów w duchu głębszych, realnych wymagań XX wieku, jeżeli zakaszą rękawy do ideowej pracy publicznej w kierunku realizacji konkretnych zadań wewnętrzno i zewnętrzno-państwowych, jeżeli sądzić będą każdy problem, każdą sprawę, nie według kategorji różnych osobistych, zdawkowych autorytetów, ale według istotnej wartości danej sprawy, jeżeli złożą realne dowody swej produktywnej wartości rządowi i społeczeństwu, to wówczas katastrofa, wywołana obecnie ośmioletnim oportunizmem, marazmem i snobizmem rzeczonych sfer, może być jeszcze naprawioną, a Nasza Przyszłość stanie bez żadnych pretensji, jako skromny szeregowiec, do tej pracy. Jeżeli nie — to powiedzieć należy tym sferom: Tu l'a voulu, George Dandin!

Narazie oświadczamy jasno i wyraźnie — zresztą nie po raz pierwszy — że nam nikt i nic nie imponuje, zwłaszcza żaden mosiądz pozłacany, jak tylko osobista tężyzna i produktywność człowieka. Uznajemy tylko każdą daną sprawę, społeczną czy państwową, a wartość ludzką oceniamy tylko według tego, czy dana jednostka — bez wzglę-

du na swój wiek i pozycję — okazuje się dla tej sprawy pożyteczną lub nie. Już dawno oduczyliśmy się przysięgać na słowa mistrzów, kłaniać się przed wydrążonymi wewnątrz fetyszami i dać sobie czemkolwiek imponować, poza rzeczywistą, niereklamowaną zasługą. A pewne nieszczęśliwe wypadki na arenie publicznej w ostatnich czasach utwierdzają nas jeszcze mocniej w tem przekonaniu. To też powstający obecnie przez skonsolidowanie grona Przyjaciół „Naszej Przyszłości" — Związek Polskiej Myśli Państwowej będzie tej naszej tendencji nieprzejednanym, konsekwentnym wyrazem. Każdemu państwu, każdemu społeczeństwu, każdemu rządowi potrzebna jest objektywnie konserwatywna myśl, a przedewszystkiem praca, dla utrzymania niezbędnej równowagi w państwie, które bez tego musi staczać się na lewo. Ale myśl ta i praca ze strony pewnej elity intelektu i umiaru musi na całkiem innych, niż dotąd, opierać się przesłankach, musi przedewszystkiem być istotnie pracą polityczną i społeczną, w szerokiem tego słowa znaczeniu, a nie jałowem politykowaniem, snobistyczną bezczynnością i wyczekiwaniem na czyjeś cuda. Nie może być żebraczem czepianiem się za poły żakietu rządowego o korzyści materjalne. Raz z tem skończyć trzeba! Błąd popełnił niewątpliwie Rząd pomajowy, że sięgnął trochę bezkrytycznie do świecącego mosiądzu. Błąd zresztą po ludzku wybaczalny, bo wyznajemy w pokorze ducha, że i my — wyznawcy dawnej szkoły stańczykowskiej, a dzisinaj „Naszej Przyszłości — nie przypuszczaliśmy nigdy takiego rezultatu działania sfer elity, której — po siedmioletnim Witosowym ucisku — dano do ręki tak olbrzymie atuty. Dlatego podnosząc tę krytykę wobec rządów pomajowych, musimy odnieść ją także do nas samych. Wszak i my tkwiliśmy przez szereg lat w tej sferze, aczkolwiek założenie „Naszej Przyszłości" z wiosną 1930 było już pierwszym symptomem naszego oporu wobec fałszywego kierunku. Trzeba teraz, aby Rząd na terenie pracy oficjalnej, a my na tere-

nie skromnej naszej pracy społecznej, szukali nie „wybitnych sfer“, bo takich już w Polsce niema, ale raczej prawdziwie wybitnych jednostek, których u nas niebrak na szczęście, ale których nie umiano jakoś wyszukać i wciągnąć do pracy publicznej ze względu właśnie na ich skromność, bezinteresowność i brak błyszczącej pozłoty.

Krytyczniej, stanowczo krytyczniej odnosić się należy do ludzi i rzeczy, aby uniknąć — rozczarowań, które w życiu prywatnem są przykre, a w życiu państwowem więcej, niż szkodliwe.

Zniknąć muszą stanowczo spirytyści i ciury!

Redakcja

ODZYSKANIE NIEPODLEGŁOŚCI.

W listopadzie 1918 nie odzyskała Polska całkowitej niepodległości i suwerenności w oczach świata. Dumne, zwycięskie mocarstwa koalicji, dopomagając do wskrzeszenia jej, jako potrzebnego im państwa buforowego, narzuciły jej szereg ciężkich, nawet wprost upokarzających zobowiązań, podobnych mniej więcej tym, jakie wymuszały dawniej cywilizowane państwa europejskie na niby niezależnych państwach egzotycznych, zwłaszcza wschodnich, których prymitywna kultura i administracja nie dawały im rękojmi sprawiedliwego, cywilizowanego traktowania interesów obcych obywateli na tych egzotycznych, półcywilizowanych terenach.

Tak postąpiono i z Polską, traktując ją pod tym względem na równi z jakiemś dalekiem sułtanatem wschodnim, przyczem — jak wiadomo — nie zawsze miarodajne czynniki cywilizacji zachodniej orjentowały się dostatecznie w geograficznem położeniu i różnicach Galicji, Cylicji i „Sylesji“, a do ostatnich jeszcze czasów poważne firmy zachodnie, finansowe lub handlowe, a nawet pewne napół naukowe tamtejsze stowarzyszenia, chełpiące się światłem wysokiej wiedzy, zamieszczały uparcie Warszawę, Lwów i Wilno gdzieś na stepach rosyjskich, pod Uralem. W takich warunkach narzucono Polsce traktat, poddający ją obcej kontroli w sprawie mniejszości narodowych, aby zapobiec „żydowskim pogromom“, o których mgliste miał pojęcie burżuj — filister zachodni z sensacyjnej kroniki swych lokalnych dzienników z carsko-rosyjskich czasów przedwojennych. Zapomniano zupełnie, że właśnie dawna Rzeczpospolita Polska rozwiązywała najwspanialej problemy współżycia różnych narodowości w obrębie wspólno-

ty państwowej, a już z całym rozmysłem przepomniano i przemilczano, że właśnie najbardziej cywilizowane państwa zachodnie najstraszniejsze do niedawna popełniały okrócieństwa w swych kolonjach, nie wszędzie nawet zamieszkałych przez dzikie ludy.

Słaba moralnie i materjalnie z początku Polska, ledwie zmartwychwstała z półtorawiekowego grobowca, a w dodatku rozstrojona rozpasaną wówczas demagogją wewnętrzną, musiała zgodzić się na ten upokarzający warunek, który mimo wszelkich frazesów panującej u nas wówczas endecji, chłopokracji i międzynarodówki socjalistycznej — ranżował Polskę z miejsca w kategorji państw trzeciorzędnych.

Ale, czy rzeczywiście mocarstwa zachodnie, jako takie, czy rzeczywiście ich rządy, jako takie, traktat ten wymyśliły i narzuciły? Sądzimy stanowczo, że nie. Różnym miarodajnym wówczas w rządach tych osobistościom, poczynając od Wilsona, nie przyszłoby z pewnością nawet na myśl wymyślać i wyduszać na Polsce specjalne sankcje ochronne na rzecz zamieszkujących ją mniejszości i to tem bardziej, że wschodnie jej granice nie były wcale jeszcze ustalone. Że Anglja chciała stworzyć sobie z Gdańska swą placówkę handlową i dlatego wbiła ten niby niezależny cierń między Polskę a Niemcy, to rzecz z punktu widzenia angielskiej światowej polityki kupieckiej jasno zrozumiała. Ale rozciąganie kontroli nad polską polityką mniejszościową — nie! Tego żaden rząd zachodni nie wymyślił, choćby z obawy rozbudzenia podobnej sprawy i u siebie.

Kto więc jest właściwym autorem i promotorem tego narzuconego Polsce paktu, który tamował naszą całkowitą suwerenność aż do 13-go września r. b.? Niewątpliwie promotorem tym były podziemne moce, które Marszałek nasz tak trafnie określił przed kilku laty jako, obce agentury. Miał on przytem na myśli wprawdzie całokształt

wewnętrznych i zewnętrznych czynników, które, opierając się materjalnie lub sympatjami na różnorakiej zagranicznej pomocy, chciałyby stwarzać u nas różne państwa w państwie i rządy w rządach. Ale na pierwszy plan wysuwa się w śród tych obcych agentur jedna, najpotężniejsza, której wiele zachodnich państw i rządów świadomie lub mniej świadomie służą. Jest to — nie wchodząc w szczegóły jej organizacji, nomenklatury i filjacji — owa olbrzymia, jakgdyby wszechobecna mafja żydowsko-masońsko-socjalistyczna, bezwyznaniowa, bezideowa, kosmopolityczna, podminowująca wszędzie strukturę moralną i materjalną rządów, państw i społeczeństw w imię dyktatury złotego cielca, brutalnej władzy i zniszczenia wszelkiej etyki według naczelnej maksymy, że najgorszy cel uświęca najgorsze środki. A potęga tej mafji, dominującej faktycznie nad wielu rządami, parlamentami, finansami, przemysłem i prasą, opiera się głównie i wzmaga na ludzkiej głupocie i karjerowiczowstwie. Wstąp do masonerji, zwłaszcza francuskiej, a zacznie ci się nagle we wszystkiem powodzić, znajdziesz poparcie, kredyty i posady! — tak rozumuje nawet polski przeciętny filister. A nawet i ludzie wyższego rzędu idą u nas, jak muchy, na lep kilkunastu, czy kilkudziesięciu francusko-kosmopolitycznych żydków, radykałów i geszefciarskich spryciarzy, wodzących rej w paryskim Wielkim Wschodzie, w którym wybitni politycy i mężowie stanu odgrywają w gruncie rzeczy tylko role manekinów lub posłusznych wykonawców.

Otóż nie Francja, nie rząd, a już pod żadnym warunkiem nie francuskie sfery wojskowe, stanowczo nam przychylne, spowodowały narzucenie Polsce traktatu mniejszościowego i pragnęłyby zepchnąć ją do roli francuskiej kolonji — ale właśnie owa mafja, która dzisiejszą Francję toczy na kształt raka i wyraźnie spycha ją do ruiny, oponując gwałtownie, z iście bolszewicką negacją wszelkiej etyki, przeciw wszelkim próbom naprawy tamtejszego ustroju

i stosunków. Silną placówkę stworzyła sobie ta mafja w centrum Europy na terenie republiki czechosłowackiej, podatnej i posłusznej (za wyjątkiem samej Słowacji) wszelkim nakazom i kaprysom nie tyle Francji, ile przedewszystkiem owej międzynarodowej mafji, zcentralizowanej w kosmopolitycznym świecie Paryża. Bo, jak wiadomo, jest Paryż i Paryż!

Wpływy gangrenujące tej mafji, które omijały z lekceważeniem Polskę przedwojenną, w niewoli, nie mającą więc dla interesów spryciarzy kosmopolitycznych większego znaczenia, wtargnęły oczywiście do Polski niepodległej, grając i tu na naiwności ludzkiej, na drzemiącem u większości ludzi karjerowiczowstwie i geszefciarstwie, usiłując stworzyć sobie z Polski i z Warszawy podobnie posłuszną placówkę, jaką ma w Czechach, zwłaszcza w Pradze i w wielu innych miejscach na świecie. A że w Polsce niestety też nie brak głupców i karjerowiczów i od czasów królowej Marysieńki panuje u nas skłonność padania w proch plackiem przed lada komiwojażerem zagranicznym, a zwłaszcza francuskim, więc też wpływy sprytnej mafji Wielkiego Wschodu (oj, że wschodu, to prawda!) zaczęły istotnie penetrować.

— Dajmy się Polakom bawić w niepodległość, wywieszać na bramach chorągiewki, a nawet tworzyć armję przy pomocy naszego lichego demobilu technicznego i wybrakowanych motorów, oczywiście dla ewentualnych naszych celów politycznych w rozgrywce z Niemcami i Rosją, a my tymczasem urządzimy sobie z tej polskiej kolonji korzystny teren interesów w taki sposób, aby grosza nie dać Polsce (pas un sous à la Pologne de Piłsudski!), a możliwie jak najwięcej z niej wyciągnąć! — tak powiedzieli sobie ci spryciarze paryscy, wywieszając z emfazą świeżo pomalowane tradycje napoleońskie ad usum Polonorum i hasło braterstwa broni, zawsze mile łechtające rycerskość Polaków.

I przyznać trzeba, że przez pewien czas — nawet dłu-

gi — dobrze się tym panom i ich tubylczym agentom w Polsce działo. Różne małe i maleńkie dyplomaty i półdyplomaty francusko-masońskie traktowały nas z partesa. Żaden konsul pruski bismarkowskiego pokroju nie traktował nas z tak miażdżącem lekceważeniem, jak pierwszy lepszy żydek paryski na niskiem stanowisku w lada francuskim konsulacie. A kierownicy francuskich przedsiębiorstw w Polsce uważali za Murzynów nie tylko robotników i urzędników polskich w swych kopalniach i fabrykach, ale nawet swych dyrekcyjnych kolegów Polaków. A przecież niejeden z tych francuskich geszefciarzy, a w każdym razie ich paryskich mocodawców, nie stał na poziomie o wiele wyższym od Stawisky'ego.

Ale wszystko musi mieć swój koniec, a zwłaszcza wszelkie nadużycie i lekceważenie. Polak — jak powiada Zagłoba — pacjencję wrodzoną mając, siła zniesie, długo się szarpać pozwoli, ale gdy się miara przebierze, jak huknie w pysk, to ci się taki Szwedzina (Francuzina) trzy razy nogami nakryje... Długi szereg wydarzeń w kraju i na wielkiej arenie europejskiej wykazał nam, że Francja— a raczej rządząca nią nieoficjalnie mafja, gotowa nas każdej chwili poświęcić, choćby dla jakiegoś czysto teoretycznego, prestiżowego kawałka paktowego papieru, choćby taki kawałek papieru nie przedstawiał żadnej istotnej, realnej wartości na wypadek konfliktu na serjo. Zaczął więc rząd polski od dwóch lat prowadzić samodzielną politykę, nie zabiegając o przyzwolenie pp. referentów z Quai d'Orsay, a wychodząc z bardzo prostej zasady, że bliższa ciału koszula, niż sukmana. Zaczęliśmy zawierać układy dwustronne z naszymi sąsiadami, porozumieliśmy się z Gdańskiem. Ognisko wschodnio-europejskiego pokoju przeniosło się i ugruntowało w Warszawie, opuszczając niepewny, grząski, nieobliczalny grunt paryski i genewski. Dobraliśmy się następnie w normalnej drodze sądowej do gospodarki pewnych francuskich agentur przemysłowych

w Polsce. Gospodarka ta okazała się skandaliczną z punktu widzenia prawa, etyki kupieckiej i sprawiedliwości socjalnej. Francuscy agenci zaczęli — fakt niebywały w Polsce — wędrować do kozy. Rzecz prosta i naturalna, czysto indywidualna, nie mająca chyba nic wspólnego z braterstwem broni. Przecież nie poto łączy nas przymierze z Francją, abyśmy mieli wzajemnie tolerować kryminalne nadużycia pewnych jednostek w obu krajach. Ale rząd francuski, oczywiście za podnietą wszechwładnej tam mafji, ugodzonej w swych kolonjalnych interesach polskich, wystąpił niemal oficjalnie w obronie tych swoich, niezbyt ciekawych obywateli, a w ślad za nim poszła prasa francuska, dostosowana do niezbyt wysokiego poziomu tamtejszego filistra-rentjera, wyolbrzymiając sprawę paru oskarżonych geszefciarzy do rozmiarów politycznego konfliktu między Polską a Francją. Braterstwo broni zdemaskowało się nagle w postaci najzjadliwszych, gadzinowych artykułów antypolskich, w których jedak widać wyraźnie rękę kolegów Stawisky'ego.

Doszło do tego wszystkiego w ostatnim czasie, że rentjerowi francuskiemu, który pogodził się już ze stratą swych rosyjskich wierzytelności przedwojennych, zabłysła nagle a niespodziewanie nadzieja — oczywiście złudna — odzyskania tych miljardowych walorów. Sowiety bowiem zaczęły, ze względu na grożące im niebezpieczeństwo na wschodzie, zbliżać się do Ligi Narodów. A ponieważ nieco przedtem Polska dla własnego bezpieczeństwa zawarła pakty z Rosją i Niemcami, więc p. Barthou, widząc, że wasalstwo Polski należy już do przeszłości, objechał małą Ententę, umocnił ją (rzekomo) w francusko-masońskiej wierze, poczem, wróciwszy do Paryża, wyciągnął z bibljoteki i odgrzał na piecyku elektrycznym reminiscencje sojuszu carsko-francuskiego ponad głową Polski. A więc, aby nieposłuszną Polskę ukarać, która dąży do całkowitej niepodległości wobec Francji i śmie sama myśleć o swem bezpie-

czeństwie, zróbmy pakt wschodni — o który notabene Polska napróżno jeszcze w Locarnie zabiegała, a ten pakt ma być zrobiony wyłącznie z egoistycznych, francuskich punktów widzenia, bez żadnego szczerego względu na losy Polski. Paryż ma się porozumieć z Moskwą, zmusić przez to i Niemcy do sojuszu, a Polska i kilka małych państw pośrednich mają służyć za marjonetki. Mają się bić w danym razie z każdym na prawo i na lewo, kogo im Francja każe zaatakować. A za pomoc, udzieloną Francji przez Rosję przeciwko Niemcom, otrzyma Rosja wynagrodzenie od Francji w postaci Niderlandów... przepraszam, chciałem powiedzieć, w postaci któregoś z państw bałtyckich lub skrawka Polski. Gdańsk i Pomorze mają być również w danym razie francuską monetą obiegową, gdyby chodziło o zacieśnienie przyjaznego stosunku z Niemcami w tym pakcie wschodnim, aby powstrzymać ich Drang od Austrji. A przy tej całej sposobności może p. Litwinow zapłaci coś niecoś rentjerom francuskim w imieniu carów Aleksandra i Mikołaja.

Prawda, jakie to wszystko jasne, proste, przejrzyste i dowcipne! Ale niestety dla p. Barthou i mafji wielkowschodniej, dzisiejsza Polska, to już nie wczorajsza. Nie dała się podejść. Minister Beck nie zmienił pod wpływem tych wszystkich intryg i hałasów ani o jotę swej linji politycznej, a pchnięcie francuskiej szpadki odparował ciosem karabeli: wypowiedzeniem traktatu mniejszościowego. A tuż przed tem sparaliżował jeszcze przeciwnika wysunięciem charytatywnego wniosku o generalizacji międzynarodowej kntroli nad mniejszościami na całym świecie, reprezentowanym w Genewie.

Teraz już nie tylko masonerja, ale i oficjalna dyplomacja francuska straciły rezon i wątek. P. Barthou nie był wstanie niczem innem na Polski wniosek odpowiedzieć, jak tylko brutalnym gestem, że Francja nie uznaje u siebie żadnych mniejszości narodowych i dlatego nie podpisze żad-

nych zobowiązań. Bo oczywiście, Murzyn z Senegalu, czy Dachomeju, albo Malajczyk, czy Chińczyk z Tonkinu, to przecież rodowici, czystej krwi Francuzi, niczem — w myśl tezy p. Barthou — nie różniący się od Paryżanina.

Kompromitacja nacjonalistycznej, egoistycznej polityki francuskiego rentjera na całej linji. Mądrzejszy Anglik, któremu ta gra Polski najwidoczniej się spodobała, uznał z prawdziwie albiońską flegmą, że Polska ma rację.

Dnia 13-go września wywalczyła sobie Polska wreszcie całkowitą niepodległość i to w walce z... Francją, która nas od czasów napoleońskich, prawdę mówiąc, do swych celów zawsze nadużywa, a potem zostawia na boku, gdy jej to w innych widokach nie dogadza. W tym względzie między projektowanym paktem wschodnim, a pokojem w Tylży, gdzie Napoleon z carem zawarli kosztem Polski przymierze, niemasz żadnej zasadniczej różnicy. Dzięki zdecydowanej, prawdziwie aktywnej, a przytem bardzo dobrze przemyślanej polityce p. Ministra Becka, będącej równocześnie wyrazem ogólnych wytycznych Marszałka, pragnącego dla Polski prawdziwej niepodległości, a nie pozornej, zostały pewne sprawy zasadnicze wyrąbane toporem i pewne prawdy ujawnione,

Czy jednak oznacza to wszystko zerwanie sojuszu między Francją, a Polską? Nic podobnego! Trzeba bowiem odróżnić sztucznych sprzymierzeńców od naturalnych. Sztuczne przymierza kleić się mogą i zrywać według kaprysów dyplomacji i konjunktur. Natomiast przymierza naturalne, wynikłe z obustronnych, organicznych potrzeb bezpieczeństw, są nierozerwalne, choćby się tacy sojusznicy dziesięć razy o coś chwilowo pokłócili. Otóż Francja i Polska są sobie wzajemnie takimi „naturalnymi sojusznikami". Francja wie dobrze o tem, że Polska jest w głębszej istocie rzeczy jej jedynym, naprawdę szczerym sojusznikiem w Europie. Nie dzielą nas z Francją naprawdę żadne głębsze różnice interesów, a wiążą pewne, bardzo

poważne, choć chwilowo nieaktualne niebezpieczeństwa. Tylko, że Polska, zbliżająca się już do Francji zaludnieniem i uzbrojeniem, nie chce być wasalem Francji, ale rozmawiać z nią pragnie na równej stopie. Nie chce również służyć za marjonetkę, a w przyszłości może i za kozła ofiarnego, ani kaprysom dyplomacji francuskiej, ani filisterskim zachciankom francuskiego rentjera, ani wreszcie spryciarskiemu wyzyskaniu przez kosmopolityczne kliki żydowsko-masońskie, czy inne, skoncentrowane w Paryżu.

* * *

PROBLEM SŁOWACKI.

Na łamach prasy polskiej nieraz się spotyka urywkowe wiadomości o takim, czy innym przejawie walki Słowaków o swą autonomję. Silniejsze echa budzą oczywiście jaskrawsze ewenementy w rodzaju procesu Tuki, czy oslav w Nitrze, kiedy to ks. Hlinka „wziął do niewoli" czeskich ministrów, a wreszcie ostatnie zastrzeżenia lojalności państwowej ze strony tegoż Hlinki. Wszystko to jednak składa się na mozajkę faktów, które zaciemniają i zasłaniają właściwe tło stosunków słowacko-czeskich i kwestji autonomji dla Słowacji. Czasami padnie coprawda termin: umowa Pittsburska, mający wyjaśnić całą sprawę. W rezultacie wszystko staje się jeszcze bardziej enigmatyczne. W tych warunkach dobrze będzie przypomnieć trochę faktów historycznych.

Przedewszystkiem umowa Pittsburska. Co właściwie ona zawiera? Jaką stanowi podstawę dla roszczeń słowackich? Dlaczego nie jest tak wykonywana, jak to, zdawałoby się, być powinno?

Aby przeciąć kwestję radykalnie, przytoczymy tę słynną umowę w całości. Jest krótka, możemy więc to zrobić bez obawy znudzenia czytelnika.

„Czechosłowacka umowa, zawarta w Pittsburgu, dnia 30 maja 1918. Przedstawiciele słowackich i czeskich organizacji w Stanach Zjednoczonych, Słowackiej Ligi, Czeskiego Narodowego Związku i Związku Czeskich Katolików, odbyli naradę w obecności przewodniczącego Czechosłowackiej Narodowej Rady, prof. Masaryka ,w sprawach czecho-słowackich i podstawowych programowych wymaganiach i uchwalili co następuje: Uchwalamy polityczny

program, zmierzający do połączenia Czechów i Słowaków w niepodległem państwie, złożonem z Czeskich i Słowackich ziem. Słowacki będzie urzędowym językiem w szkole, w administracji i wogóle w życiu publicznem. Słowacja otrzyma swą własną administrację, swój sejm i sądownictwo. Czechosłowackie państwo będzie republiką, a jego konstytucja będzie demokratyczną. Organizacyjna współpraca Czechów i Słowaków w Stanach Zjedn. będzie w miarę potrzeby i nasuwającej się sytuacji, przy wzajemnem porozumieniu, pogłębiona i wzmocniona. Szczegółowe postanowienia o urządzeniu czechosłowackiego państwa przekazują się wyzwolonym Czechom i Słowakom oraz ich prawomocnym przedstawicielom".

Biuletyn Biura Prasowego Ligi Słowackiej pisał bezpośrednio potem: „Niema więcej powodów do żadnych obaw, żadnych podejrzeń, żadnego niedowierzania", a następnie: „Od dziś niewolno jest mówić o niczem, coby nas mogło dzielić, bo tego, coby nas dzieliło, niema. Od dziś wytężymy wszystkie siły i będziemy pracować dla osiągnięcia jednego, wielkiego i świętego celu, którym jest wyzwolnie Czecho-Słowacji".

Dla pełni obrazu trzeba dodać, że umowa Pittsburska nie była właściwie pierwszem tego rodzaju porozumieniem Czechów ze Słowakami w Ameryce. Poprzednio już w Cleveland podpisano umowę, o której tak pisze Albert Mamatey, były przewodniczący Ligi Słowackiej („Nowa Słowacja" Clev. 24.VI 1918): „Profesor Masaryk przejrzał dokładnie naszą Clevelandską umowę, a widząc, że nie jest ona wystarczająca, w niektórych szczegułach „up-to-date", napisał nową umowę, w której bardzo krótko, zwięźle, ale bardzo jasno nakreślił stosunek Czechów i Słowaków do naszej akcji wyzwoleńczej, a potem w ramach tego oczekiwanego przyszłego państwa Czecho-słowackiego".

Ustalenie i zawarcie umowy poprzedziły wielkie ma-

nifestacje w Pittsburgu, zorganizowane przez Słowaków na cześć Masaryka. Przemawiał on w miejscowej Exposition Hall, gdzie miał powiedzieć („Jednota“ 5.VI 1918), że na pytania, jak się po wojnie ułożą stosunki między Czechami i Słowakami, zawsze mówi: „Będzie wolna Słowacja i będą wolne Czechy. Na Słowacji zarząd polityczny, szkoły, sądownictwo i wszystko inne będą słowackie, w Czechach będą czeskie. Byłoby niedorzecznością, gdybyśmy myśleli inaczej, lub gdybyśmy nie mieli życzliwości względem siebie. Rzeczowych sprzeczności między nami niema i nie powinno być, przecież druch drucha rozumie, a nic więcej nie chcemy. O zmajoryzowanie przez Czechów nie trzeba się obawiać. To będzie, ale w Czechach. Na Słowacji będzie większość słowacka. Każdy szczep będzie panem u siebie w domu“.

Biuletyn Prasowy Sł. Ligi stwierdza: „Żadna dotąd odezwa nie miała takiego wpływu na amerykańskich Słowaków i autochtonów, jak właśnie ta mowa. Społeczeństwo przyjęło słowa swego wodza z takim entuzjazmem, jakiegośmy dotąd nigdy nie byli świadkami“. Na owem zebraniu było więcej, niż dziesięć tysięcy Słowaków, a Czechów tylko „niewielka kolonja“.

Po skończeniu tego manifestacyjnego zgromadzenia została zorganizowana konferencja w Moosof na Penn Ave. Biuletyn nazywa ją „poufną naradą Słowaków z ojcem Masarykiem“. Mówiło się tam o różnych szczegółach, które później znalazły wyraz w cytowanej powyżej deklaracji, a także i o innych, o których brak wzmianki. Więc „na interpelację pana Janceka (później posła republikańskiego), jak będzie załatwiona na Słowacji sprawa religijna, prof. Masaryk odpowiedział, że w państwie czechosłowackiem będzie panować zupełna swoboda sumienia i wyznania religijnego“.

„Na drugi dzień, 31 maja — mówi dalej cyt. biuletyn — obradowała w temże miejscu Czecho-Słowacka Na-

rodowa Rada. Prof. Masaryk przybył tam pierwszy i dokonał dzieła, które w dziejach Czechów i Słowaków będzie miało wiekopomne znaczenie. Wynikało to z nowej umowy między Słowakami a Czechami. Nową umowę napisał sam Masaryk i ustalił w niej stosunki między obu szczepami. W myśl tej umowy Czecho-Słowacja ma być republiką, w której Słowacja ma tworzyć całkowicie samodzielną część, ze stolicą krajową, słowackim sejmem, słowackiemi szkołami, sądami i administracją".

Okazuje się więc, że ta umowa, nosząca datę 30 maja, de facto powstała następnego dnia i, co najciekawsze, została podpisana przez jej autora znacznie później. Na wspomnianej konferencji powstał tylko jej szkic, który zresztą znalazł całkowitą aprobatę obecnych. Wobec tego dokument oddano kaligrafowi i w tej dopiero formie podpisał ją Masaryk 14 listopada 1918 roku w Washingtonie, już jako Prezydent Czecho-Słowacji, wybrany przez rewolucyjne Narodowe Zgromadzenie w Pradze. Było to na krótko przed jego powrotem do Europy.

Jakież jest znaczenie umowy pittsburskiej dla powstania Czecho-Słowacji? „Bez niej — pisze organ praski „Život" (Nr. 8 r. 34) — zapewne Słowacy nie mieliby zaufania do powstającego państwa czecho-słowackiego i nie popieraliby akcji Czechosłowackiej Rady Narodowej, a prawdopodobnie pracowaliby przeciw niej. A w tym wypadku, kto wie, czy cała akcja miałaby taki wynik, z jakiego się dziś wszyscy cieszymy".

Trzeba bowiem zwrócić uwagę, że na Słowacji podczas przewrotu i przez kilka miesięcy po nim nic nie wiedziano o pittsburskiej umowie. Nowe państwo zaczęło się organizować bez oglądania się na ten akt, a wreszcie amerykańscy Słowacy dowiedzieli się o różnych przekroczeniach państwowych organów, oraz o bezprzykładnych wystąpieniach antyreligijnych czołowych czeskich czynników. Wyprawili wówczas na Słowację specjalną dele-

gację, której jeden członek, ks. P. Siska, miał ze sobą fotograficzną kopję pittsburskiej umowy.

Walka o dopełnienie umowy pittsburskiej stała się głównym punktem programu katolickiej partji słowackiej, na której czele stoi ks. Hlinka. W ten sposób powstał słowacki ruch autonomistyczny, który zapewne nie nabrałby takiego charakteru, gdyby nie wspomniane błędy, uchybienia i gwałty ze strony czynników czeskich. Słowaccy autonomiści stanęli przedewszystkiem na stanowisku, że trzeba wprowadzić w czyn zasadę: Słowacja dla Słowaków, Czechy dla Czechów. Słowem, że Słowacy, podobnie jak inne narody, mają prawo do naturalnej suwerenności. W konsekwencji Partja Słowacka domagała się, aby ustanowiono ministra specjalnie dla spraw słowackich, a dalej wprowadzenia w czyn autonomji szkolnej i administracyjnej. Z tego rodzaju postulatami wystąpiła partja jeszcze w roku 1921.

Niestety, trzeba stwierdzić, że od pierwszej chwili wszystkie te postulaty napotykały na zasadniczy odpór i sprzeciw władz centralnych. W wyniku doprowadziło to partję ludową do bardzo radykalnej taktyki.

Partja starała się jednak opracować pozytywnie postulaty autonomji słowackiej, które po kolei ujęli w odpowiednie wnioski ustawodawcze Tuka (na własną zresztą rękę), a dalej Jurig i Labaj.

Pomimo zasadniczego przeciwdziałania ze strony czeskiej biurokracji i różnych czynników partyjno-politycznych, partji słowackiej udało się zrealizować w pewnym stopniu postulaty programowe, zwłaszcza jeśli chodzi o przeprowadzenie decentralizacji administracji, wprowadzenie języka słowackieego do szkół i urzędów, a wreszcie stępienie ateistycznych wystąpień i represji. Następowało to najczęściej via facti, bez odpowiednich ustaw i zmian konstytucyjnych, a zwłaszcza bez wcielenia umowy pittburskiej do konstytucji, co jest zasadniczym postulatem wszy-

stkich autonomistycznych programów. Te fakty dokonane nie zadawalają jednak partji ludowej, pragnie ona ustawowych gwarancji, chce rozszerzenia praw Słowacji. I zmierza do tego mimo przeszkód, mimo pomawiania o zdradę narodową. O losach tej walki warto pomówić z większymi szczegółami. Nad stosunkami czesko-słowackimi od pierwszej chwili zaciążyło jakieś fatum. Nie brakło ze strony słowackiej gotowości zespolenia się z Czechami. Świadczy o tem owa pierwsza, bardzo „nieudolna" umowa w Cleveland, którą z takim pośpiechem poprawił na poczekaniu późniejszy prezydent Masaryk. Pod jego osobistym czarem przygasła nieufność, o której tak wymownie mówi nikt inny, tylko jeden z czeskich organów. Słowacy dali się unieść entuzjazmowi i zaakceptowali dokument nieistniejący, ledwie naszkicowany. Owszem, dokument ten był wcale piękną deklaracją, zapowiadającą nadanie autonomji Słowacji. Miał tylko jeden maleńki brak. Nienapisane w nim było, od jakiej daty ta autonomja ma obowiązywać. W fajerwerkach pittsburskich zginął niepozornie ten szczegół. Lecz już najbliższa rzeczywistość miała stwierdzić jego wagę.

Kiedy w parę miesięcy po owych majowych nastrojach powstała republika czechosłowacka, Słowacy rychło mieli się przekonać, że jest ona tylko czeską, a owe szumne deklaracje o linji demarkacyjnej między dwoma bratnimi narodami są czczą formułą, którą pierwszy lepszy urzędniczyna z Pragi likwiduje w drodze swego widzimisię.

Ten urzędniczyna „nie musiał" zresztą wiedzieć o umowie, skoro poprostu została ona zatajona. Dopiero z pod korca przemilczenia na światło dzienne wyniosła ją specjalna delegacja Słowaków amerykańskich, którzy przybyli z odpisem umowy pittsburskiej w ręku i komu potrzeba pod nos ją podtykali, aby czarno na białem pokazać, że jednak autonomja nie jest mitem, nie jest bajką

dla grzecznych dzieci, że została ustalona bilateralnym paktem, zaopatrzonym we własnoręczny podpis pana prezydenta Masaryka.

Tego rodzaju początki nie mogły podtrzymać entuzjazmu Słowaków dla ich nowej ojczyzny. Od pierwszej też chwili zaczyna się bardzo zresztą trudna i systematycznie przez Pragę utrudniana walką o autonomję, walka nierówna już choćby dla tej jednej przyczyny, że Praga uzbrojona była w perfidję. Powiedziałem na wstępie, że fatum zaciążyło nad losem wyzwolonej Słowacji. Istotnie. Nie mówiąc już o tym przemycanym ingresie umowy pittsburskiej na Słowację, wystarczy wspomnieć tu o tragicznej śmierci generała Stefanika, którego przez nieporozumienie zestrzelono z aeroplanem pod Bratysławą, akurat w chwili, gdy lądował na swej ojczystej ziemi słowackiej. A Stefanik był nie byle kto. Był to człowiek, który rychłoby wyegzekwował brakujący na umowie pittsburskiej termin wprowadzenia w życie autonomji. Jego śmierć jest doprawdy symbolem tego pecha, który prześladuje autonomję słowacką. Byle ciura jednym strzałem zlikwidował najtęższego polityka słowackiego, tak, jak potem byle urzędniczyna likwidować będzie i kurtyzować aspiracje autonomistyczne słowackie.

Jaki był właściwie stosunek Czechów do problemu autonomji słowackiej? Ze strony całego szeregu najbardziej miarodajnych czynników stosunek ten układał się wprost negatywnie. Na Słowację patrzano nie jak na bratni, współsuwerenny kraj, lecz jak na Hinterland, ziemię kolonizacyjną. Mówi o tem wyraźnie dr. J. Pluhar w Słowniku Handlowym:

„Nawet w okresie największych prześladowań przeważna większość w niczem nie ustąpiła z maksymalnego czeskiego programu, którego osnową było niepodległe państwo czeskie, złożone z Czech, Moraw i Słowacji... Słowacja miała być naszą kolonją; jest błędnym pogląd, ja-

koby kolonja nie mogła graniczyć ze swym krajem macierzystym. Przykładem służy Rosja i Syberja".

Zaiste, osobliwa ta interpretacja i osobliwy program. Najbardziej zaś osobliwe było to, że przy takim programie przeważnej większości czeskiej została podpisana autonomja Słowacji. Czyż nie stosuje się do tego programu określenie perfidny, któreśmy wyżej dali?

W tych warunkach wynikła konieczność bliższego sformułowania zasad tej autonomji. Słowacy znaleźli się w dość kłopotliwej sytuacji. Nie bardzo mieli komu w swojem gronie powierzyć to odpowiedzialne zadanie.

Chodziło przytem o rzecz wagi pierwszorzędnej, o punkt wyjścia przy ujęciu i założeniu ram autonomji.

W społeczeństwie słowackiem ścierały się dwa kierunki. Jeden filoczeski, a drugi madjarofilski. Ten drugi dążył do całkowitego wyemancypowania się Słowaków, w perspektywie mając przy tem możliwość związania się z Węgrami. Madjarofile wychodzili z założenia, że większem niebezpieczeństwem dla Słowaków są Czesi. Naturalnem więc dążeniem Słowaków winno być uzyskanie niezależności od Czechów.

Jednym z wybitniejszych przedstawicieli tego kierunku był i jest ks. Jehliczka, przez jakiś czas nawet wykładający na uniwersytecie warszawskim.

Niewątpliwie temu kierunkowi był bliski ideowo prof. dr. V. Tuka, były profesor węgierskiego uniwersytetu w Bratysławie, prawnik z wykształcenia, któremu powierzono opracowanie ustawy o utonomji.

Prof. Tuka ujął kwestję bardzo radykalnie, wysuwając na wstępie zasadę, aby Czechosłowacja była republiką związkową, a raczej związkiem republik, całkowicie suwerennych zarówno w sprawach wewnętrznych, jak i zagranicznych, a w konsekwencji rozporządzających oddzielnie władzami ustawodawczemi, administracyjnemi, szkolnemi, sądowemi, samorządowemi, ziemskiemi, a pozatem

posiadających język, godła i sztandar państwowy oddzielny.

Cóż więc byłoby wspólnego? Wspólnota przejawiałaby się w ten sposób, że 1-sze, Prezydent Republiki, wybierany na 4 lata, raz Czech, raz Słowak, 2-gie generalny sztab, 3-cie ministerstwo zagranicznych spraw byłoby wspólne. Wspólnota owa zresztą mogłaby zostać zlikwidowana zarówno aktem jednostronnym, jak i za obustronną zgodą.

Dalszą osobliwością projektu było, że pomimo wspólnego ministerstwa spraw zagranicznych, oba państwa prowadziłyby jednak oddzielną politykę międzynarodową, byłyby oddzielnie członkami Ligi Narodów, samodzielnie zawierały i zrywały umowy międzynarodowe, jedynie nie mogłyby oddzielnie wypowiadać wojny i zawierać pokoju.

Szukając analogji dla tej koncepcji, moglibyśmy ją chyba znaleźć w pierwszej formie unji polsko-litewskiej.

Wniosek Tuki pojawił się w roku 1921, nie znajduje jednak przychylnego przyjęcia w stronnictwie ks. Hlinki, które coraz poważniejszą rolę zaczęło odgrywać na Słowacji. Stronnictwo to postanowiło samo opracować autonomję, powierzając to zadanie adwokatowi z Rużemborka, Ludwikowi Labajowi. Ten przedstawił w parlamencie dnia 25 stycznia 1922 roku „wniosek w sprawie zmiany konstytucji Czechosłowackiej Republiki z dnia 20 lutego 1920 roku, w celu wprowadzenia samorządu Słowacji“.

Wniosek został podpisany przez wszystkich ludowych posłów z ks. Andrzejem Hlinką na czele.

Przyjrzyjmy się bliżej temu elaboratowi.

Na wstępie znajdujemy stwierdzenie, że wbrew uchwałom rewolucyjnego zgromadzenia narodowego w Pradze, konstytucja nie zaspokoiła postulatów narodu słowackiego. Stanowią one dwie grupy, obejmujące kwestje ściśle słowackie, oraz (druga grupa) kwestje wspólne dla całej republiki.

Sprawy specjalnie słowackie to: administracja, szkoła, religja, sądownictwo, handel, rolnictwo, sprawy społeczne i roboty publiczne, wreszcie skarb i odnośne ustawodawstwo. Wspólne dla całej Republiki: przynależność obywatelska, wojsko, sprawy zagraniczne, komunikacja, prawo socjalne, wybór prezydenta oraz dotyczące tych dziedzin finanse i ustawodawstwo.

Czynności ustawodawcze wypełniałoby wspólne zgromadzenie Narodowe w komplecie dla spraw wspólnych, oraz jednoizbowy słowacki parlament dla spraw specjalnych, krajowych. Skład jego byłby identyczny co do liczby ze stanem słowackiego przedstawicielstwa w Zgromadzeniu Narodowem. Oba parlamenty wybierane na sześć lat. Sejm krajowy miałby prawo 2/3 głosów zawieszać ustawy w stosunku do Słowacji. Prezydent Republiki miałby prawo veta w stosunku do ustaw czysto słowackich. Jednak tak zakwestjonowaną ustawę sejm słowacki mógłby 3/5 uchwalić definitywnie.

Dla spraw wspólnych rząd byłby wspólny, z tem, że w 1/3 składałby się ze Słowaków. Pozatem byłby zarząd krajowy z własnym premjerem. Zarząd ten wykonywałby ustawy obu parlamentów, ogólnego i krajowego, na terenie swej władzy.

Urzędowym językiem na Słowacji ma być słowacki, w innych, wspólnych urzędach i instytucjach oba języki byłyby równouprawnione. W tych urzędach jedna trzecia urzędników powinna się rekrutować ze Słowaków.

Wojsko ma być wspólne, ale podczas pokoju słowackie pułki z komendą słowacką mają stacjonować na Słowacji, czeskie w Czechach.

Finanse załatwiane będą w ten sposób, że koszty samorządu pokrywa Słowacja z własnego majątku i przedsiębiorstwa oraz danin, ceł i t. p., uzyskanych na własnym terenie, natomiast koszta ogólne pokrywać się będzie z dochodów przedsiębiorstw pozostałych terenów i ziem oraz

z dodatku do danin, uchwalonego przez Zgromadzenie Narodowe, a obowiązującego na Słowacji.

W zakończeniu wniosek ustanawia autonomję dla Rusi Podkarpackiej.

Wniosek Labaja, nie pozbawiony bądź co bądź poważnych zalet, bardzo prędko zapadł się pod zielonem suknem. Najpierw przez dziesięć miesięcy leżał w komisji wniosków, skąd przekazano go do Komisji Ustawodawczej. Było to pod koniec roku 1922. Od tej daty, aż po dzień dzisiejszy słuch o całej sprawie ginął coraz bardziej w perspektywie politycznych intryg.

Starali się ją coprawda przypominać wnioskodawcy, składając interpelacje. Praga wzięła to tak do serca, że postanowiła przeprowadzić studjum zagadnienia. Wyniki takiego studjum, będącego właściwie kroniką niewydarzonych wydarzeń, mieliśmy w ręku. Melancholja ogarnia człowieka przy lekturze tego obszernego pro memoria, stworzonego m. w. koło r. 1926. Ileż to głębokich racji uzasadnia zasypanie słowackiej autonomji piaskiem parlamentarnej tromtadracji!

W tym czasie nad Słowacją rozpętano burzę procesu politycznego Tuki. Zarzucono opinję krajową i światową sztucznemi błyskawicami z prokuratorskiej teki. W ich fałszywem świetle miano udowodnić intrygi obce, madziarskie i nawet polskie u podstaw ruchu autonomistycznego. Prasa światowa na ten temat grzmiała rewelacjami, że wspomnimy tu „Popolo d'Italia".

W zasłonach dymowych trujących gazów represji i instytucji zgasło na pewien czas słońce autonomistycznych aspiracji. Prof. Tuka „poszedł siedzieć" na lat 15. Pradze zdawało się, że będzie spokój.

Lecz myśl autonomistyczna nie zginęła całkowicie. W roku 1930 dnia 8 maja Andrzej Hlinka przedłożył nowy wniosek w sprawie zmiany, a raczej dopełnienia konstytucji.

Prostota, a przedewszystkiem krótkość jest cechą te-

go wniosku. Ma on tylko trzy paragrafy, w których, jak to wyraził dr. Marcin Sokoł, generalny sekretarz stronnictwa ludowego, w swym odczycie w praskim klubie „Pritomnost“ — zawiera się dziś maximum politycznego programu słowackich autonomistów.

Oto wniosek:

1. Par. 3 konstytucji zostanie dopełniony następującą 10 uwagą: (10) Zakres tego paragrafu obejmuje również prawodawstwo. Dalej zaś zakres art. 11 ustawy z dn. 29 lutego 1920, Nr. 121, par. 1 i 21 ustawy z dn. 9 marca 1920, Nr. 162 obejmuje swą ważnością również i Słowację.

2. Tą ustawą uzupełniona zostaje konstytucja zgodnie z punktem 2, Nr. 1 ustawy z dn. 29 lutego 1920, Nr. 121.

3. Ta ustawa zaczyna obowiązywać z dniem ogłoszenia. Wprowadzenie jej powierza się rządowi.

Jaki jest sens tego lakonicznego i nieomal humorystycznego w swym szablonie wniosku ustawodawczego? Bo czyż nie jest humorystyczna ta zwięzłość i dosadność dla sprawy, którą latami całemi odkładano z powodu jej „skomplikowania“.

Otóż wspomniany na wstępie paragraf 3 konstytucji mówi o autonomji Rusi Podkarpackiej. Korzystając z tego, że konstytucja określa, na czem polega autonomja Rusi, wnioskodawca chce przenieść uprawnienia autonomistyczne Rusi na Słowację. Co do kwestji prawodawstwa, to dr. Sokoł powiada, że nie jest ta sprawa tak konieczna.

Jakżeby w tych warunkach wyglądała autonomja Słowacji?

Na czele Słowacji stałby gubernator, mianowany przez Prezydenta Republiki na wniosek rządu i odpowiedzialny przed słowackim sejmem. Słowacja miałaby swój sejm ustawodawczy, wydający ustawy w sprawach językowych, szkolnych, religijnych, samorządoych, sądowniczych, oraz

w sprawach, przekazanych mu przez Narodowe Zgromadzenie całej Republiki. Prezydent Republiki miałby prawo absolutnego veta. Słowacja miałaby w Zgromadzeniu Narodowem odpowiednią reprezentację poselską i senatorską. Funkcjonarjusze na Słowacji w miarę możności powinni być Słowakami. Granice Słowacji ustali specjalna ustawa, wcielona do konstytucji. Do Trybunału konstytucyjnego sejm słowacki wysyła jednego przedstawiciela, wybranego przez Prezydenta z przedstawionego mu terna.

Powyższy wniosek podpisał również poseł Marcin Razus, przedstawiciel słowackiej partji narodowej, skupiającej ewangelików, jak stronnictwo ludowe ks. Hlinki skupia katolików.

Pozatem na Słowacji istnieją jeszcze inne ugrupowania, twierdzące, że domagają się autonomji. Jest to węgierska Orszagos kereszteny-szocialista part oraz Madjar nemzeti part — jedna socjalistyczna, druga narodowa. Obie te partje nigdy jednak nie przedstawiły konkretnego wniosku, jak pojmują autonomję, ani też nie współpracowały z autonomistami słowackimi. Niewątpliwie bliższym im jest separatyzm, niż autonomizm, co się tłumaczy naturalnemi filjacjami z Węgrami.

A jakież stanowisko wobec problemu autonomji zajmują stronnictwa i politycy czescy?

Najjaśniej i najwyraźniej wypowiada się przedewszystkiem dr. M. Hodża, zresztą Słowak. Nie patrzy on na autonomistów jako na madziarofilów, czyli poprostu zdrajców, lecz głosi potrzebę rozwiązania problemu słowackiego. Wychodzi przytem z założenia, że istnieje odrębność etniczna Słowaków, a wywołany stąd ruch regjonalny wymaga przeprowadzenia daleko idącej decentralizacji spraw słowackich, słowem administracyjnej autonomji. Nie może jednak ona naruszyć jedności „politycznego narodu czechosłowackiego".

Z czeskich polityków jeden tylko Jerzy Stribrny wy-

powiada się za autonomizmem słowackiem; wielu Słowaków patrzy jednak na to bardzo sceptycznie, mając dobrze w pamięci jego taktykę w czasie, gdy był u władzy i licząc się z jego niepoprawnym utylitaryzmem. O faszystach i froncie narodowym niema co wspominać.

Ważniejsze znaczenie ma stanowisko bardzo licznej katolickiej partji ludowej czeskiej i jej zwolenników na Słowacji (dr. Micura). Niestety partja ta, jak dotąd, zawsze kategorycznie przeciwstawiała się wszystkim wystąpieniom słowackich autonomistów, choćby w najsłuszniejszej sprawie. Jeśli partja katolików czeskich istotnie chce dojść do jakiegoś współdziałania ze Słowakami katolikami, to będzie musiała zrewidować swe stanowisko i nie tylko w teorji uznawać prawo Słowacji do autonomji, ale i w praktyce przyczynić się do jego realizacji.

Tak czy inaczej obecny stan rzeczy na Słowacji, jak to stwierdza katolicki organ praski „Život" (Nr. 11 r. 34), wytworzył chroniczną chorobę wrzenia i niezadowolenia, a demagogiczne sposoby jej leczenia, jakie stosuje taki „chybiony" Słowak, jak dr. Derer (szczególnie w szkolnictwie), napędzają tylko wodę na młyn madziarofilskich rewizjonistów.

Sprawy słowackiej nie można dziś lekceważyć.

Słowacy z pod sztandaru ks. Hlinki pokazali, że są na Słowacji już potężną siłą i gospodarzem i że frazesami o „politycznym narodzie czechosłowackim" nie dadzą się zbałamucić!

Przekonali się o tem na własnej skórze ministrowie czescy, którzy w czwórkę pojechali do Nitry na tysiącletni jubileusz. W głowie szumiał im frazes „czechosłowacki", ukuty w Pradze, aż tu nagle zagarnął ich tłum słowacki i trzymał w niewoli, jako nienawistnych czechów, gnębicieli. A ks. Hlinka powiedział, że jednego jego skinienia wystarczyłoby, żeby zrobić z nich „międzynarodową" miazgę, że jednak oszczędzi ich, o ile zrezygnują z urojenia

o jedności politycznej „czechosłowackiej". Jest Słowacja i są Czechy. I o tem powinni pamiętać.

Nie znaczy to, jak przy innej okazji wytłumaczył ks. Hlinka, że Słowacy chcą się oderwać od Czechów, jeno chcą być gospodarzami we wspólnej macierzy, że nie chcą tolerować gnębienia kościoła i życia religijnego i nie będą znosić dalej wynaradawiania.

W tych swoich postulatach niewątpliwie Słowacy mają rację i znajdą zawsze dla nich przychylny oddźwięk w polskiej opinji, która żywo interesuje się losem swych zakarpackich podbratymców, bliskich językiem i wiarą i zawsze moralnie popiera ich postulaty.

Związek słowacki z Czechami musiał się odbić bardzo poważnie i oczywiście niekorzystnie na kwestji religijnej. Katolicka Słowacja nie mogła znaleźć w przeżartych wolnomyślicielstwem, husytyzmem i socjalizmem Czechach czynnika, sprzyjającego rozwojowi jej życia religijno-kościelnego.

Ujemne skutki tego widzimy w różnych dziedzinach, zwłaszcza zaś w wychowaniu młodzieży.

Jak wiadomo, w C. S. R. obowiązuje od pewnego czasu t. zw. „Mała Szkolna Ustawa" (Maly skolsky zakon), regulująca m. in. sprawę nauczania i wychowania religijnego.

Ustwa ta przewiduje, że w klasach IV i V szkoły średniej nauce religji poświęca się tylko jedną godzinę tygodniowo. W klasach wyższych, od VI do VIII włącznie, na naukę religji wogóle nie znaleziono czasu.

Osobliwością tej niesłychanej ustawy jest, że pozwala nawet uczniom niższych klas zrezygnować z uczęszczania na naukę religji.

Ta fakultatywność sprawia, że młodzież coraz bardziej traci pod względem swego wyrobienia religijnego i moralnego. Sport, tańce, kino wyparły z życia młodzieży wszystkie szlachetniejsze aspiracje.

Kapłan-katecheta jest piątem kołem u wozu w zespole profesorskim i traci coraz bardziej na autorytecie wśród młodzieży — pisze „Slovak“, zaniepokojony, że również na Słowację ma zostać wprowadzona ta ustawa.

Możnaby coprawda wprowadzić dla młodzieży klas wyższych dobrowolne kursy nauki religji. Doświadczenie w Czechach wykazało jednak, że wybitnie nieprzychylny stosunek władz szkolnych do religji — redukuje liczbę uczestników do minimum.

W tych warunkach nietylko w ogólności upada duch religijny i moralny wśród młodzieży, ale wskutek tego słabną powołania kapłańskie, ginie zainteresowanie dla społecznej pracy katolickiej, dla akcji katolickiej, charytatywnej, prasowej. Młode pokolenie dostarcza coraz mniej pracowników na tych polach.

Na Słowaczyźnie — pisze dalej „Slovak“ (Nr. 72 — 73 r. 1932) o sytuacji szkolnej — zniesiono katolickie średnie szkoły, nie stworzono natomiast samodzielnych katedr katechetów w szkołach powszechnych — jak to jest przecież w ziemiach morawskich — a przytem dąży się do dalszego ograniczenia nauki religji, postawienia jej w gorszych warunkach od lekcji gimnastyki, usiłuje się zniszczyć autorytet katechetów i znaczenie wychowania religijnego, a wreszcie zmierza się do rozbicia frontu katolików-Słowaków, podważając autorytet ich przywódców. Wszystko to każe z lękiem myśleć o sprawie wychowania religijnego w szkołach średnich na Słowacji.

Skąd oczekiwać pomocy? „Nie możemy liczyć — konstatuje „Slovak“ — że w tej sprawie zrobią coś katolicy czescy. Zbyt przeżarł ich energję czynu kompromis, którym operują, byle tylko utrzymać się na fotelach ministerjalnych. Przecież czeskie stronnictwo ludowców katolików nie zdołało się przeciwstawić projektowi rozwodowemu grupy socjalistów czeskich. Dopiero opozycja katolików słowackich przeważyła szalę“.

Podobnie pesymistyczne rozważania poświęcił „Słowak“ ogólnej sytuacji religijnej w związku „z wizytą, która ominęła Bratysławę“ — wizytą katolików francuskich. Istotnie, dziwna to rzecz, że postarano się o to, by Francuzi nie zainteresowali się arcykatolicką Słowacją.

A przecież tu właśnie, w takich ośrodkach, jak Nitra, czy Turczański św. Marcin, znaleźliby lud prosty, przywiązany do kościoła dziewiczą wprost wiarą, tu znaleźliby instytucje katolickie, świadczące o duchu społecznym. Choć z drugiej strony znaleźliby spustoszenie katolickich szkół klasztornych, będących ongiś chlubą kraju. Tu znaleźliby ludzi, zabiegających o stawianie kościołów, a jednocześnie zmuszonych walczyć o elementarne prawa Kościoła. Być może nie chciano pokazać tych zbyt bolesnych kontrastów, dlatego stało się, że wycieczka katolików francuskich ominęła Słowację.

Nietylko od katolickiej Francji izoluje się katolicką Słowację. Izoluje się ją też i od katolickiej Polski — całym systemem kłamstw i insynuacji.

„Słowak“ w obszernym artykule p. t. „List z Krakowa“ z dnia 3 lipca r. b. omawia sprawę stosunków polsko-słowackich.

W gazecie „Słowacki dziennik“ z dn. 1 lipca ukazał się artykuł p. t. „List z Krakowa“, którego tendencyjność bije wprost w oczy. Daleko prawdopodobniejszem miejscem narodzenia tego artykułu byłaby Praga lub też ulica Różowa w Bratysławie, niż Kraków. Powyższy list jest złośliwością, mającą na celu podburzenie Słowaków przeciwko Polakom, aby na nich patrzyli jako na swych wrogów, czyhających na samodzielność Słowacji. W owym liście jest wzmianka, że dr. Jehliczka pracuje w Polsce nad rozbiorem Słowacji, tak, by większa część terenów odeszła do Węgier. A dalej mówi się:

„Polacy patrzą na Słowację, jako na kraj, do nikogo nie należący, więc pragną posiąść całą środkową jej część,

aby ją potem spolszczyć, co dla miejscowego ludu będzie prawdziwem dobrodziejstwem. Przypuszczają bowiem, że ze strony słowackiego ludu nie będzie takiego sprzeciwu, jak to ma miejsce ze strony Ukraińców i Litwinów".

„Podobna o Polakach opinja, o ile to może być prawdą, mogłaby oburzyć i wrogo usposobić względem Polski nawet najspokojniejszego Słowaka. Każdy z nas, Słowaków, musiałby omijać Polaka o tysiąc mil, nie chcąc przyjąć śmierci z ręki bratniego, słowiańskiego narodu, przytem narodu katolickiego".

„Oczywiście—zaczyna swój komentarz „Słowak" — to zdanie autora „listów" o Polakach jest niczem innem, jak oszczerstwem, jest to zmyślenie ze strony tych, którym solą w oku staje się wzajemna serdeczność i przychylność w stosunkach polsko-słowackich. Ci ludzie pragnęliby ujrzeć Słowaków w obozie antypolskim, łącznie z którym z całego serca pragną, aby znikła z powierzchni ziemi jedyna słowiańska i katolicka potęga, wybitnie antybolszewicka. Panom wolnomularzom, którzy decydują o losach świata, bardzo działa na nerwy potężna Polska, rozporządzająca wielką siłą zbrojną. Ci panowie pragnęliby widzieć to państwo, osłabione, złamane i pokorne, a co zatem idzie, posłuszne wszelkim światowym konferencjom. Taka Polska, będąc igraszką w ich ręku, znaleźćby musiała wyznaczone przez nich łaskawie miejsce na mapie Europy, na drugim jej planie.

Nikt na świecie za żadną cenę nie zaciągnie Słowaka do tego obozu, napróżno więc o to stara się „Słowacki Dziennik".

Słowak instynktownie czuje, że gwarancją jego narodowej i religijnej przyszłości jest nietylko jego własna państwowość czechosłowacka, lecz i ta okoliczność, że Słowacja posiada słowiańskiego sąsiada, który bynajmniej nie pragnie jej zniszczyć, lecz naodwrót, serdecznie cieszy się

ze wzrostu jej narodowego poczucia w ramach czechosłowackiej republiki.

Takimi to naszymi sąsiadami są Polacy.

My nie jesteśmy ślepi. My widzimy, że stosunek między jedną cząstką naszej republiki — Czechami i między Polakami jest obecnie niezbyt obiecujący. Jest wręcz bardzo zły. Lecz jednocześnie widzimy, że stosunki polsko-słowackie są podawnemu nadzwyczaj serdeczne i trwałe.

Czyż to jest w interesie naszej republiki rozbić, zniszczyć i zniekształcić stosunki polsko-słowackie? Czyż to leży w interesach państwa, aby Słowak podejrzliwie patrzył na Polaka, a Polak na Słowaka, aby się wzajemnie nienawidzili i obnosili swą nienawiść po świecie?

Nie, to nie pokrywa się z interesemi Republiki.

Interes Republiki wymaga przedewszystkiem rozwiązania problematu słowacko-czeskiego, a potem już przyjdzie łatwo rozstrzygnięcie problematu polsko-czeskiego, a dokładnie: polsko-czechosłowackiego.

Słowacy i ich kraj zajmują w tej sprawie zdecydowane stanowisko tak, jak to jasno określił w swej mowie minister Benesz, stwierdzając: „Słowacja jest złotym mostem Republiki".

Wobec powyższego powinniśmy surowo osądzić prowokacje „Słowackiego Dziennika" nietylko w interesie całego państwa, lecz zarówno Czechów, jak i Słowaków.

Droga, na którą wkracza obecnie „Dziennik", nie odpowiada interesom ani rządu, ani narodu. Z tej drogi „Dziennik" swego czasu już zawracał, odwołując to, co na jego szpaltach pisał o Polsce dr. M. Hodża. 12 grudnia 1920 roku min. dr. Hodża pisał to, co obecnie stanowi treść i podstawę „listu z Krakowa". Wówczas pisał o „ulicznikostwie rządu polskiego", który był na tyle nieopatrzny, że zamierzał ująć się za sprawą autonomji politycznej dla Słowacji. O tym rządzie, który narówni z Madziarami wrogo jest do Słowacji i Republiki usposobiony.

Od chwili tego wystąpienia min. Hodży upłynęło już 14 lat. Niech nam obecnie powie min. Hodża, lub też jego „Dziennik“ i to w konkretnej formie, kiedy, gdzie i w jaki sposób rząd polski wespół z Madziarami występował prze-przeciwko nam, Słowakom, lub też naszej Republice?

Kiedy, gdzie i co złego wynikło z wystąpienia Polski przecwko nam Słowakom, lub też naszej Republice?

Nie wypada pleść pustych bzdur, zwłaszcza gdy się jest ministrem.

W roku 1920, kiedy takie zarzuty czynił Polsce czechosłowacki minister (sprawujący urząd), mogli się oburzyć Słowacy na Polaków, w przekonaniu, że min. Hodża jest dobrze poinformowany i występuje zawsze w imię czystej prawdy.

Lecz w roku 1934 Słowacy widzą, że podobne wynurzenia miały jedynie na celu stworzenie w łonie samego państwa antysłowiańskich nastrojów. Każdy Słowak obecnie, po 14 latach, widzi, że w roku 1920 nie polski rząd występował przeciwko Słowakom i słowackiemu narodowi oraz jego istnieniu. Niestety, występowali wówczas synowie zarówno Słowacji, jak i Czech, którzy, wskazując już to na madziarskiego, już to na polskiego straszaka, przeprowadzali u siebie w kraju akcję tego rodzaju, że dzięki niej doszło do takiego naprężenia stosunków na Słowacji, jakie w tej chwili obserwujemy.

Tymczasem dziś, gdy to wszystko wiemy i widzimy, „Dziennik“ wmawia w nas, że to Polacy pragną wyzyskać Słowaków. Dopatrywać się w tem należy niskiej i nędznej intrygi ze strony wrogów polsko-słowackiej przyjaźni.

Wprost śmieszni są ci wszyscy, którzy wbrew swoim uczciwym przekonaniom operują podobnemi insynuacjami, tak podle służącemi całej Słowiańszczyźnie. Nie. Nie w ten sposób powinno się pracować dla dobra rządu, narodu i Słowiańszczyzny. Prawdziwymi przyjaciółmi państwa jesteś-

my my, Słowacy, autonomiści, pragnący być w dobrych stosunkach z obiema republikami.

W tych swoich dążeniach postępujemy zgodnie ze wskazówkami prezydenta Masaryka, który w grudniu 1918 roku powiedział: „Powinniśmy mieć jednego przyjaciela, który się zawsze za nas ujmie. Jest nim Francja".

Ten to głęboki i pożyteczny dla państwa pogląd prezydenta Masaryka my święcie realizujemy, skoro pragniemy mieć, oprócz Francuzów Paryża, w gronie swych przyjaciół, którzy się za nas zawsze ujmą, również Francuzów słowiaństwa — Polaków.

W ten sposób zostanie zabezpieczona nasza Republika, a w niej i przyszłość Słowaków i Czechów, boć przecie wystąpienia w rodzaju „Listów z Krakowa" oraz „różne światowe gaduły", jak nazwał dr. Kramarz Ligę Narodów, tego zabezpieczenia nie są w stanie dać.

Wszystko to powinni wiedzieć w Pradze, a zwłaszcza przy ulicy Różowej w Bratysławie. A przedewszystkiem powinni zaniechać prób skłócenia Słowaków z Polakami".

Do tych charakterystycznych i tak przychylnych dla Polski rozważań trudno coś dodać. Można chyba stwierdzić, że wynurzenia „Słowaka" odpowiadają zupełnie dokładnie ustosunkowaniu się przeważnej części opinji polskiej względem Słowaków. Pragniemy z nimi życzliwych stosunków i to jest najważniejsze.

Ustosunkowaniem się Polski względem Słowacji, a na tem tle i do Czechosłowacji, bardzo żywo zajmuje się opinja czeska, wysoce zainteresowana ewentualnemi tego stosunku konsekwencjami, no i trochę zaintrygowana, czy na dnie polskich sympatji dla Słowaków niema chęci podsycenia słowackiego autonomizmu, a zwłaszcza separatyzmu. Podobnie zapatrują się i Słowacy, zbliżeni do stanowiska Pragi.

Charakterystyczną pod tym względem deklarację złożył Słowak, min. sprawiedliwości (poprzednio oświaty) dr.

Derer. Przemawiał on na zebraniu nauczycieli w Turczańskim św. Marcinie, sercu Słowaczyzny, na temat zagadnień polsko-słowacko-czeskich.

Oczywiście punktem wyjścia jego uwag mogło być tylko zasadnicze założenie, któremu hołduje, a mianowicie, że przy jak najdalej idącem poszanowaniu kulturalnej odrębności Słowacji, powinna być utrzymana centralizacja polityczno-administracyjna Republiki, z ośrodkiem w Pradze.

Idealną podbudową tej centralizacji ma być solidarność czesko-słowacka. Ta solidarność leży nietylko w interesie Słowaków i Czechów, ale również ma znaczenie dla wszystkich ludów, które wyzwoliły się niedawno z pod jarzma węgierskiego. Osłabienie solidarności czechosłowackiej przyniosłoby szkody również Rumunom, Serbom i Kroatom. W ten sposób dr. Derer czyni aluzję do pożyteczności Małej Ententy.

W tej ogólniejszej perspektywie solidarność czechosłowacka stanowi poprostu konieczność europejską.

Źle więc czynią autonomiści, którzy chcą obalić ten solidaryzm, zwłaszcza propagując oparcie się Słowaków o Polskę. Gdzież są właściwie przeszłanki do tego? Tu minister przypomina pewne fakta z czasów przedwojennych. Dlaczego to Hlinka — pyta Derer — uciekł przed węgierskiemi prześladowaniami do bardziej oddalonych Czech, a nie do sąsiedniej Galicji? Odpowiedź jest prosta. Nigdy bowiem nie było zażylszych stosunków między św. Marcinem Turczańskim a Warszawą, czy Krakowem.

A wreszcie, gdy miał się rozstrzygać los Czechów zarówno, jak i Słowaków, wtedy powstały legjony nie polsko-słowackie, ale czechosłowackie.

Inna rzecz, że każdy rozsądny Czecho-słowak musi sobie życzyć, ażeby stosunki między Czechosłowacją a Polską układały się jak najpomyślniej. Słowacy muszą jednak przy tej sposobności zrozumieć, że zbliżenia do Polski

nie wolno łączyć ani z tendencją działania na szkodę dobrego imienia Czechosłowacji, ani z pozyskiwaniem wśród Polaków zwolenników autonomizmu czy separatyzmu.

Słowacy mogą odegrać rolę dobrego drogowskazu do Polski, ale jedynie jako organiczna część składowa czechosłowackiego narodu („politycznego“ — jak to zwykle formułuje drogi centralista Hodża). Wzmocnienie solidarności czechosłowackiej nastąpi wówczas, gdy Słowacy pozbędą się pewnych towarzyskich związków z Węgrami, Czesi zaś ze swej strony odrzucą pewne niewłaściwe manjery polityczne, odziedziczone po starej c. k. Austrji.

Czesi powinny przytem poznawać Słowaków, co zresztą już w coraz większym stopniu następuje w historycznych krajach czeskich (Czechy, Morawy, Śląsk?).

Jeśli chodzi o to zerwanie „towarzyskich związków z Węgrami“, ma się do tego przyczynić broszura Józefa Sebestyena, wyszła w Bratysławie p. t. „Prawdziwe oblicze Stefana Tiszy“. Autor dochodzi do wniosku, że aureola genjusza, która poczęła usuwać w cień Deaka, Sechen'yego i inne, prawdziwe wielkie postacie węgierskich dziejów, była sztucznie stworzona przez otoczenie Tiszy. Dziś, choć niewiele lat minęło od tragicznej śmierci Tiszy, któż właściwie potrafiłby wyjaśnić, na czem polegała wielkość tego męża stanu? Jego zasadniczą cechą była dwulicowość. Póki zdawało się, że mocarstwa centralne zwyciężą, Tisza przypisywał sobie inicjatywę wojny; po klęsce głosił, że on to właśnie, wyjątkowy i jedyny, sprzeciwiał się wciągnięciu Austro-Węgier do wojny.

Wracając do kwestji stosunków polsko-słowackich, możemy zanotować inny jeszcze głos ze strony słowackiej. Jest to artykuł Igora Hruszowskiego, ogłoszony w języku słowackim na łamach „Czeskiego Słowa“, organu p. Benesza. Odrazu należy stwierdzić, że jest on wybitnie niechętny Polsce, a w tonie bardzo ostry.

Zaczyna się więc odrazu atakiem na „czelność polskiej

propagandy“, prowadzonej przez „eksponentów polskiego rządu, którzy na Słowacji pozwalają sobie mieszać się do naszych wewnętrznych spraw“. Autor ma tu na myśli polską placówkę konsularną w Użhorodzie i panujące tam zawiłe stosunki słowacko-rusko-polskie. Oczywiście Polacy poniosą fiasko, ale tem nie mniej zatrują sąsiedzkie stosunki ze Słowakami.

Słowacy nigdy nie ścierpią jakiejś polskiej komendy. Wszelkie pogróżki przeciw Słowacji i naszemu czechosłowackiemu państwu będą zwalczać i przeciw bojowym apetytom polskim do ostatniego człowieka się bronić. Jeżeli Polacy nie zmienią swego postępowania względem Słowacji, to lud słowacki będzie w nich widzieć nie braci, ale głównych swoich wrogów, mniej więcej tak, jak miljony Ukraińców na wschodnich ziemiach Polski. Nie wiemy — pyta autor — czy dla przyszłości polskiej nie będzie to fatalne, jeżeli Polska wypiastuje sobie sąsiada na swej południowej granicy, ogarniętego uczuciem skrajnego rozgoryczenia do narodu polskiego i państwa?

W dalszym ciągu autor rzuca szereg oskarżeń pod adresem Polski, oczywiście zabarwionych doktryną socjalistyczną. Co dobrego doznali Słowacy od Polaków? „Polaków znamy oddawna, zawsze jednak z najgorszej strony. Polska i madziarska szlachta uciskały słowacki lud pańszczyźniany. Do spółki z Madziarami Polska była katem tego ludu. W roku 1848 pośpieszyła na pomoc Węgrom, posłała im swoich generałów (tu idą nazwiska) w celu utrzymania panowania Madziarów nad Słowakami“.

Nie mniej i po roku 1867, po zawarciu układu austrjacko-węgierskiego, „panowie polacy“ pomagali madziaryzować lud słowacki w myśl przysłowia „Polak Węgier dwa bratanki“. Jeśli chodzi o nazwiska, to proszę: hr. Zamoyski, baron Lużeński. A po przewrocie 1918, „nie mając najmniejszego prawa ani historycznego, ani etnograficz-

nego, zabrali nam 12 gmin na Spiszu i Orawie, bezwzględnie w nich wynaradawiając Słowaków".

Jeśli dodać do tego, że Polacy bezwzględnie uciskają „słowiańskich braci Ukraińców i Białorusinów", to nie mogą przeto posiadać „żadnego moralnego tytułu do piętnowania ucisku Słowaków przez Czechów". Niech lepiej myślą o sobie, bo już raz „przehajdakali" swe państwo z końcem XVIII wieku. „Cóż może być bardziej przewrotnego, gdy naród, który przez półtora wieku narzekał przed całym światem na krzywdę rozdarcia swego państwa, zamierza podobną zbrodnię popełnić na najbliższym sąsiedzie".

Wszyscy Słowacy, bez różnicy przekonań politycznych, muszą się opowiedzieć przeciw takim polskim machinacjom, a swoje wewnętrzne sprawy i potrzeby sami załatwią, a więc „zamierzony polski wypad na południe doprawdy spali na panewce". Po takiem zapewnieniu autor nie zaniedbał jednak rzucić pod adresem Pragi apelu, aby położyła kres „machinacjom agentów, usiłujących zepsuć dzieło konsolidacji słowackiej".

Trudno poważnie reagować na ten dość komiczny przejaw napastliwości, posiłkującej się argumentami z arsenału ignorancji historycznej i politycznej demagogji. Oto do czego może doprowadzić już nietylko zaślepienie, ale i niepoczytalność polityczna, uciekająca się do byle jakich, zato możliwie najjaskrawszych argumentów.

Stefan Radost

REWIZJA
ŚWIATOPOGLĄDU GOSPODARCZEGO.

Po trzechletnim mniejwięcej okresie inkubacyjnym, w czasie którego studjowaną była i dyskutowaną jak najwszechstronniej i z największym możliwym objektywizmem kwestja głębszych przyczyn i prawdopodobnych w przyszłości skutków powojennego kryzysu gospodarczego, występują obecnie Redakcja i Koło Przyjaciół „Naszej Przyszłości" z ogłoszeniem pewnej syntezy w tym zakresie, jako tymczasowego rezultatu swych badań i rozważań.

Nie twierdzimy więc, że konkluzje niniejszego komunikatu są naszem ostatecznem słowem w tej sprawie, ale przeciwnie, uważamy niniejsze tezy za otwarcie dyskusji, do której zapraszamy wszystkich, którzy w tym zakresie mają na serjo coś do powiedzenia i których wywody lub uwagi mogą istotnie i objektywnie przyczynić się do wyświetlenia problemu.

Niniejsze nasze wystąpienie nie jest zresztą czemś nowem i niespodziewanem dla naszych czytelników. Możemy bowiem powołać się na długi szereg obszernych artykułów, niejako przygotowawczych, zamieszczonych już w tem piśmie od paru lat ostatnich, poczynając od artykułu p. t. „Dyktatura produkcji", zamieszczonym przez dr. Jana Bobrzyńskiego w grudniowym tomie 1931 r. Na tle tego artykułu, rozwinął potem prof. Kliszewicz w czterech obszerniejszych rozprawach teorje i podstawy naukowe pewnych tez, wysuniętych w wyżej wymienionym artykule, poczem inne prace, zamieszczone w „Naszej Przyszłości" w tym zakresie, wytworzyły stopniowo — rzec można — już jakgdyby specjalną szkołę ogólnych poglądów na

trapiącą obecnie ludzkość chorobę gospodarczego ustroju i kierunku. Dzisiejsze więc nasze wystąpienie, ujęte z natury rzeczy w tonie już więcej zdecydowanym, konkretyzuje właściwie tylko syntezę dotychczasowych prac naszego grona, w czem nie brakło także zwoływanych ad hoc konferencji z udziałem przedstawicieli różnych sfer gospodarczych, których wywody weszły również w skład naszych badań.

Przedewszystkiem jednak należy zgóry wyeliminować możliwość ewentualnego nieporozumienia. Jeżeli zespół tak specjalny, jaki tworzy dokoła siebie Nasza Przyszłość, ma zainaugurować jakąś nową dziedzinę swego programu, to musi najpierw dobrze określić cele i granice tej pracy. Inaczej bowiem, zwłaszcza w dziedzinie zagadnień gospodarczych, zabrnie się w chaotyczny las, z którego trudno znaleźć wyjście. Dlatego niezbędną jest nam w tem zadaniu surowa dyscyplina, polegająca na ścisłem trzymaniu się właściwego tematu i na nie schodzeniu z niego na inne pola, gdzie akcja Naszej Przyszłości nie mogłaby spełnić swego specyficznego zadania i osiągnąć konkretnych rezultatów. O tem dobrze pamiętać należy w ciągu wszystkich naszych naukowych i propagandowych prac z zakresu zagadnień gospodarczych i nie dziwić się, że na terenie Naszej Przyszłości pewne tylko zagadnienia ekonomiczne są i będą poruszane, inne nie.

A naczelną zasadą naszą w tym zakresie musi być zawsze teza praktyczna, że Nasza Przyszłość poruszać może z pewnym skutkiem i autorytetem te tylko tematy gospodarcze, które nie są poruszane, albo tylko powierzchownie, przez innych. Bo istotnie, jakież praktyczne znaczenie miałoby wałkowanie przez nas na nowo, po raz tysiączny, tych wszystkich szczegółowych kwestji gospodarczych — walutowych, kredytowych, celnych, podatkowych, przemysłowych, handlowych, rolniczych i t. d. — które stanowią przedmiot najszczegółowszych badań róż-

nych kompetentnych instytucji oficjalnych i prywatno-zawodowych na całym świecie oraz niezliczonych dzieł naukowych, artykułów prasowych i odczytów w stowarzyszeniach ekonomicznych? Powtarzanie tych wszystkich szczegółowych bolączek, postulatów i aspektów przyszłościowych poszczególnych gałęzi życia gospodarczego nie miałoby więc z naszej strony żadnego sensu, ani pragmatycznego rezultatu, skoro Nasza Przyszłość nie jest ani właściwym terenem szczegółowej, fachowej dyskusji gospodarczej, ani instytucją, mającą w tym zakresie jakiś mandat i moc egzekutywy. Stąd też daleko lepiej spełnią te szczegółowe zadania inne, powołane do tego instytucje, czy zrzeszenia, a Nasza Przyszłość w tym zakresie niech lepiej głosu nie zabiera.

Istnieje natomiast bardzo obszerna dziedzina, notabene fundamentalna dla racjonalnego traktowania wszelkich szczegółowych zagadnień gospodarczych, którą — rzecz dziwna i symptomatyczna — nikt jakoś zająć się dokładniej, na serjo, nie chce, czy nie ma odwagi: jest to mianowicie ustalenie zasadniczych, ogólnych torów, po których mają iść i rozwijać się myśl i praca gospodarcza. Jak pociąg kolei żelaznej, nawet najlepiej i najnowocześniej zbudowany, nie może ruszyć z miejsca bez dobrze zbudowanego toru i nie może jechać bezpiecznie po tym torze bez odpowiednich sygnałów ostrzegawczych, tak i najlepiej przemyślane w konkretnych szczegółach życie gospodarcze nie może rozwijać się racjonalnie bez uprzedniego ustalenia pewnych ogólnych zasad wytycznych i ogólnych celów pracy gospodarczej.

Rzecz to chyba bezsporna, oczywista. A jednak sfery gospodarcze wszelkiego rodzaju unikają, jak ognia, dotknięcia tematu właśnie tych ogólnych zasad, torów i celów dzisiejszego życia gospodarczego. Rozpraszają się w tysiącznych, doraźnych szczegółach, prowadząc politykę mniejwięcej z dnia na dzień, krytykują rząd, sejm, sy-

stem podatkowy i stosunki w kraju, żalą się nad pogmatwaniem międzynarodowych stosunków wytwórczych, handlowych, finansowych i politycznych, zasypują świat cały ustawicznemi skargami i żądaniami, inscenizują niezliczone konferencje dla drobiazgowego omawiania doraźnych bolączek szczegółowych — ale pod żadnym warunkiem nie chcą zastanowić się ani przez chwilę nad właściwym sensem i celem wszelkiej pracy gospodarczej. Odnosi się wrażenie, jakgdyby sfery gospodarcze obawiały się, że poruszenie generalnego zagadnienia ich właściwej roli i racji bytu wysunie konieczność pewnej rewizji dotychczasowego „systemu ustabilizowanego“ w mentalności i praktyce gospodarczej, odziedziczonego od pradziadów i wstrząśnie całym tym systemem. Ta obawa jest tak silna, tak wszechpotężna wśród ogółu sfer gospodarczych, a zwłaszcza ich kierowników, że z dwojga złego wolą atakować kryzys gospodarczy w drobiazgowych szczegółach, choć o beznadziejności tej taktyki są chyba już dostatecznie przeświadczeni, wolą widzieć postępową ruinę własnych warsztatów pracy i źródeł zarobku, niż śmiało wyznać sobie nawzajem, że pierwszym, podstawowym warunkiem wybrnięcia z kryzysu jest krytyczna, dostosowana do realnych wymagań obecnej epoki rewizja zasadniczych pojęć gospodarczych i w ślad za tem wytyczenie życiu gospodarczemu nowych, właściwych ram, torów i celów.

Co gorsza — wolą sfery gospodarcze, głoszące niby zasady własności prywatnej i swobody indywidualnej, poddawać się stopniowo, progresywnie, pod jarzmo etatyzacji i, co za tem idzie w nieuchronnej konsekwencji, socjalizacji życia gospodarczego, niż zastanowić się rozumnie nad walną przyczyną ciężkiej, powojennej choroby gospodarczej i kapitalistycznej wogóle: nad istotą nowoczesnego życia gospodarczego. W ten sposób, tym upartym, a w rezultacie jałowym oporem przeciw wszelkiej, głębiej sięgającej naprawie, ułatwiają sfery gospodarcze podziemną,

podświadomą ekspansję idei socjalizmu, czy komunizmu. Wszak Komintern nie wysila się już teraz na specjalną propagandę hasła rewolucji światowej i obalenia ustroju kapitalistycznego. Zdaje sobie bowiem dobrze sprawę, że reklamowe szerzenie haseł bolszewickich okazało się taktyką wielce niepraktyczną, gdyż wywołuje wszędzie zbyt silny opór natury politycznej i etycznej; że natomiast gospodarstwo kapitalistyczne, pozostawione dalszemu „normalnemu" biegowi rzeczy, swemu przestarzałemu systemowi, ustabilizowanemu w głowach właścicieli lub kierowników warsztatów pracy wszelkiego rodzaju, podległe suwerennej idei bogacenia się nieskończoność i za wszelką cenę, nawet za cenę ruiny własnej, samo z biegiem czasu strawi się we własnym absurdzie i stopniowo zetatyzuje tak dalece, że idea komunistyczna nie będzie już miała wiele fatygi i zachodu z ostatecznem przyłożeniem swej pieczęci.

Ten więc cały system zakostniałych, rujnujących nowoczesne życie gospodarcze pojęć i przesądów trzeba skruszyć póki czas i otworzyć tu okno dla dopływu świeżego powietrza, bo przy dalszym rozwoju rzeczy na dotychczasowej platformie wyobrażeń i tendencji gospodarczych czeka gospodarkę kapitalistyczną prawdziwy pogrom i tryumf doktryny socjalistycznej. Przewrót jest zawsze wynikiem degeneracji i słabości starego systemu. Jeżeli więc dzisiaj etatyzm, fiskalizm i doktryny socjalistyczne zaczynają coraz potężniej miażdżyć gospodarkę prywatną i inicjatywę obywatelską w zakresie ekonomicznym, to wina leży bezwzględnie po stronie przestarzałego prywatnogospodarczego systemu. Stał się widocznie ludziom nieużytecznym, może nawet szkodliwym, a w każdym razie przestarzałym i dlatego walić się musi nietylko od zewnątrz, ale przedewszystkiem od wewnątrz. A im bardziej sfery gospodarcze bronić się będą przed niezbędną, zasadniczą reformą walącego się systemu, tem prędzej nastąpi katastrofa — zapewne nie nagła, ale niemniej nieuchronna.

Ale sfery gospodarcze popełniają w nadmiernym swym realiźmie i drobiazgowości w traktowaniu swych spraw drugi jeszcze walny błąd. Nietylko bowiem unikają dyskusji na ogólne tematy gospodarcze z wyżej wspomnianej obawy przed prawdą, lecz także z powodu lekceważącego odnoszenia się do metody traktowania swych interesów z pewnego wyższego punktu widzenia, rozszerzającego horyzont obserwacji. Wydaje im się, że realna i owocna dyskusja gospodarcza może rozwijać się tylko dokoła drobiazgowych szczegółów, leżących każdorazowo na porządku dziennym. Uznają, że realnem jest tylko omawianie doraźnych interesów z dnia na dzień, a więc różnych bolączek, postulatów, cen, kosztów własnych, importu i eksportu, podatków, ceł i różnorakiej pomocy rządowej — zwłaszcza tej ostatniej. Takie drobne interesy przemysłu, handlu i rolnictwa uchodzą w oczach ludzi gospodarczych za „konkretne", nad którymi więc warto się zastanawiać i o które warto z dnia na dzień walczyć. Wszystko zaś, co ma posmak pewnego uogólniania, piętnowane bywa w tych sferach pogardliwym wyrokiem: nierealne, fantastyczne, ideowe!

Kapitalna pomyłka. Najpierw bowiem, bez jasno wytyczonych ogólnych torów i celów każda praca ludzka staje się chaotyczną i nierealną także w szczegółach, a powtóre, w dzisiejszych specjalnie warunkach mnóstwo, pozornie najkonkretniejszych interesów i zamierzeń gospodarczych okazuje się właśnie nierealnymi, a pewne ogólne nastawienia lub impulsy okazują się największą rzeczywistością i wywierają wpływ olbrzymi na losy gospodarcze całych państw. Ileż to „najkonkretniejszych" spraw, zamierzeń i przewidywań pryska codzień, jak bańka mydlana! Ileż najrealniejszych przedsiębiorstw wali się i bankrutuje! A natomiast na gruzach tych wszystkich, niby konkretnych rzeczywistości, święcą tryumf ogólne idee, na początku z reguły lekceważone przez „trzeźwych" ludzi

gospodarczych, którzy potem nagle dają się niemi zaskakiwać i stają bezradnie wobec miażdżącej ich, szybkiej ewolucji stosunków!

I tu właśnie, na tem wielkiem polu lekceważonych przez sfery gospodarcze badań ogólnych, otwiera się właściwe, specjalne zadanie dla Naszej Przyszłości. Zakres więc naszych badań i oddziaływania w dziedzinie gospodarczej ogranicza się z natury rzeczy tylko do tego odcinka spraw ogólnych, zasadniczych, które jednak są w istocie może bardziej konkretne i realne dla dalszych losów życia gospodarczego, nie krótkoterminowe i jednostronne kwestje szczegółowe, uprawiane zwykle bez głębszej myśli o jutrze.

Ustaliwszy sobie w ten sposób granice działania, musimy zkolei ustalić dokładniejsze cele.

Aby je znaleźć, nie potrzeba szukać długo, bo one same się nam narzucają. Jasnem jest, że należy wytoczyć walkę na dwa fronty: etatystycznej i fiskalistycznej supremacji państwa nad jednostką z jednej strony, z drugiej zaś owemu ustabilizowanemu systemowi pojęć, panujących suwerennie w sferach gospodarczych, o samej istocie życia gospodarczego. Oba te cele są najściślej ze sobą sprzężone, jeden bez drugiego jest praktycznie nieziszczalny. Zachodzi tylko pewna drobna różnica w kolejności ich realizacji: najpierw muszą sfery gospodarcze oczyścić się w opinji rządu i warstw najszerszych z przestarzałych naleciałości minionej epoki i dostosować swą mentalność do wymagań XX wieku, a potem dopiero będą wstanie szeroko zrzeszonym frontem wytoczyć walny bój biurokracji, fiskalizmowi [1]) i etatyzmowi. Bez uprzedniego przejścia przez czyściec śmiałej, w głąb sięgającej autokrytyki, wolnej od wszelkich „hamulców psychicznych", tamujących

---

[1]) Pod wyrazem „fiskalizm" rozumiemy tu nietylko fiskalizm państwowy, ale także samorządowy i wogóle wszelkich instytucji, mających prawo na mocy ustawy ściągać z obywateli przymusowe świadczenia materjalne.

logiczne rozumowanie, walka z etatyzmem i wszelkimi innymi zgubnymi skutkami choroby starczego systemu pojęć gospodarczych będzie beznadziejną.

Zacznijmy więc logicznie i uczciwie — przedewszystkiem uczciwie — rozumować. Słyszy się ciągle wyrażenie: życie gospodarcze. Wyrażenie to wyolbrzymia się do rozmiarów jakiegoś zbiorowego, panteistycznego fetysza, który ma wszystko pochłaniać, od losów państwa, aż do interesów każdej poszczególnej jednostki. Wszystko ma służyć temu zbiorowemu, a wszechpotężnemu bóstwu: rząd, finanse państwa, kieszenie obywateli, los miljonów pracowników prywatnych, nawet pozycja nasza zagraniczna. Fetysz ten, identyfikowany powszechnie z patrjotyzmem, noszony w procesjach gospodarczych wysoko nad głową tłumu, rozgłośny jest, hałaśliwy i niezmiernie żarłoczny, jak murzyńskie fetysze.

Ale te hałaśliwe bożki prymitywnych ludów wydają się żywe i groźne tylko tym, którzy boją się przyjrzeć im się z bliska. Strzegą też pilnie kapłani, aby nikt się do takiego fetysza nie zbliżył. A gdy kto na tę odwagę się zbierze, przekona się łatwo, że fetysz jest pomalowanym pniem drzewa, wydrążonym na bęben, a groźne bóstwo sprytną fikcją.

Tak i my, zebrawszy się na odwagę zerwania wszelkich „psychicznych hamulców“, które narzucił nam wszechpotężny business światowy, konstatujemy przedewszystkiem prostą, a jednak quasi rewelacyjną prawdę, że „życie gospodarcze“ wcale nie istnieje, że to fikcja zbiorowa, prawdziwe murzyński fetysz, narzucony całemu światu i wyniesiony przez różnych kapłanów skwapliwie na piedestał jakiejś wielkiej idei, jakiegoś niezmiernego dobra, jakiejś wprost nadnaturalnej osobowości, przybranej w narodowe lub międzynarodowe wstęgi. Fikcja — bo w rzeczywistości istnieją tylko poszczególne i to bardzo krótkowzrocznie i egoistycznie określone interesy poszczególnych jednostek.

Uderzeniem topora trzeba więc zwalić tego bałwana, aby stwierdzić, że na jego miejscu — po odarciu go ze wstęg patrjotycznych — pozostaną tylko prywatne, bardzo poziome interesy lub posiadłości pana Iksa, Ipsylona lub Zeta, albo spółek, przez nich utworzonych. A to już całkiem co innego, bo przed tą poziomą prawdą żaden rząd, żaden obywatel kłaniać się nie potrzebuje, ani wytężać swego mózgu i swej kieszeni na pobożne, patrjotyzmem natchnione podtrzymywanie prywatnych interesów tych panów.

I zdaje nam się, że jest to jedynie racjonalny, trzeźwy, prawdziwie „kupiecki" pogląd na tę sprawę, pozornie bardzo wzniosłą, ale praktycznie bardzo poziomą. Z tego też punktu widzenia „życie gospodarcze" przestaje być jakimś uświęconym fetyszem, jego kapłani tracą aureolę i stają się zwykłymi obywatelami, a wszelkie dalsze rozumowanie nad t. zw. naprawą stosunków gospodarczych niezmiernie się upraszcza. Niemasz nic zdrowszego, nic bardziej otrzeźwiającego dla człowieka, jak stwierdzenie prostego faktu, że tajemna świątynia „gospodarstwa krajowego", do której wchodzi z namaszczeniem, jest najpospolitszym kantorem handlowym jego sąsiada!

Ostatecznie żyjemy obecnie prawie już w połowie XX wieku, a więc w epoce powszechnej trzeźwości pojęć, w której dawna ślepa wiara w różne fikcyjne bóstwa i przesądy, w różne nielogiczne, emocjonalne pojęcia i doktryny srodze się już załamała. Dlatego i w dziedzinie gospodarczej usunąć trzeba wszelkie fikcje nadrzędnych pojęć zbiorowych, wszelkie emocjonalne dekoracje i stwierdzić jasno, że niemasz żadnego „życia gospodarczego", a istnieją natomiast tylko konkretne folwarki, fabryki, sklepy, banki lub kamienice, należące do poszczególnych właścicieli i stanowiące ich prywatny interes. Że warsztaty te i interesy mają także i dla państwa doniosłe znaczenie z punktu widzenia podatkowego, obrony krajowej i t. d., to rzecz inna, specjalna, która jednak nie zmienia w niczem naszej za-

sadniczej i oczywistej tezy, że są to w gruncie rzeczy jednak objekty poszczególnych interesów prywatnych.

Skonstatowawszy to i usunąwszy temsamem poważny hamulec psychiczny, który utrudniał dotąd zabranie się z reformatorskim skalpelem do chronionego nimbem nietykalności systemu pojęć gospodarczych, możemy dopiero pójść swobodnie o krok dalej i postawić bardzo proste i naturalne pytanie: czy przedsiębiorstwa gospodarcze istnieją dla zaspakajania potrzeb społeczeństwa i państwa, czy też przeciwnie, państwo i społeczeństwo istnieje i ma poświęcać się integralnie dla podtrzymania za wszelką cenę potrzeb i interesów poszczególnych przedsiębiorstw? Czyli, używając nieco dosadnego, ale mądrego staropolskiego przysłowia: czy nos jest dla tabakiery, czy tabakiera dla nosa?

I w kategorycznej, lapidarnej odpowiedzi na to pytanie leży rozstrzygnięcie problemu rewizji przestarzałych pojęć gospodarczych, a w ślad za tem także i możność lub niemożność racjonalnego odrodzenia „życia gospodarczego", zwalczenia etatyzmu, regeneracji zdrowego kapitalizmu i prawdziwego startu do stopniowego wybrnięcia z t. zw. kryzysu gospodarczego. Kryzys ten bowiem zrodził się na przestarzałem podłożu pojęć gospodarczych, może być więc zwalczony tylko na gruncie pojęć nowych, po uprzedniej, gruntownej reformie ogólnej mentalności sfer gospodarczych. Bez tego warunku nie wybrniemy z trudności, które — mimo pewnych tu i ówdzie pozorów doraźnej poprawy — wciąż piętrzyć się będą w progresji.

Odpowiedź nasza na wyżej postawione pytanie może być, logicznie biorąc, tylko jedna i dla każdego chyba oczywista: każde przedsiębiorstwo gospodarcze ma o tyle tylko rację bytu, o ile jest samo przez się rentowne, a rentowne jest tylko wówczas, gdy ma odpowiedni zbyt po odpowiedniej cenie, a więc jest *potrzebne społeczeństwu*. Z tego wynika zarazem, że przedsiębior-

stwa, które wogóle, albo w danej epoce, nie są same przez się rentowne, czyli nie odpowiadają w dostatecznym stopniu potrzebom społeczeństwa, nie mają temsamem żadnej racji bytu, a wobec tego wszelkie sztuczne podtrzymywanie ich egzystencji przez właścicieli lub przez państwo z funduszów i kredytów publicznych jest najoczywistszym i szkodliwym dla ogółu absurdem. Podtrzymywanie takie dzieje się tylko z bezproduktywnym uszczerbkiem skarbu państwa i kieszeni podatników, a samemu przedsiębiorstwu także nic nie pomoże: w braku klijenteli musi ono zginąć prędzej, czy później, przeciążone długami, powstałymi z błędnych wysiłków uzdrowienia czegoś, co się uzdrowić nie da.

Nie można się, zaiste, dość wydziwić polityce rządów państw i bezkrytycznej cierpliwości społeczeństw, że dały sobie zasugerować tę zabawną ideę „konieczności społecznej i państwowej" forsownego, sztucznego, wielce kosztownego, a w rezultacie kompletnie jałowego galwanizowania trupów gospodarczych, z których dawno uciekła już dusza, t. j. ekonomiczna racja bytu! Wyjaśnienie tej zagadki jest jednak proste, mamy bowiem klasyczny wskaźnik w tym względzie na znanym już dziś powszechnie, nieetycznym nacisku i wpływie, jaki wywierają na rządy państw prawem i lewem przedsiębiorstwa ciężkiego przemysłu, zainteresowane w zbrojeniach. Widzieliśmy niedawno międzynarodowy skandal na tem tle, ujawniony na konferencji rozbrojeniowej. Podobnie jednak, choć w różnej skali, postępują mniejwięcej wszystkie sfery gospodarcze. Stoją wszystkie one na zgodnem stanowisku: niech się dzieje, co chce, niech państwo porwie się na niemożliwości budżetowe, niech zrujnuje się nadmiernym wysiłkiem kredyt publiczny, niech zapanuje ostatecznie etatyzm, czy nawet socjalizm, byle tylko interes szedł, choćby sztuczną drogą, choćby w prostej linji do ruiny.

Jest to bezkrytyczna mentalność, ultra-egoistyczna,

w istocie swej nawskroś antykupiecka, której hołdują sfery gospodarcze, wypaczywszy jednostronnie t. zw. tradycję ojców i praojców. To też myśl, że w życiu gospodarczem trzeba w każdej epoce pociągnąć groblę aspiracji według stawu możliwości zapotrzebowania i zbytu, że należy w danej konjunkturze pomyśleć zawczasu, póki przedsiębiorstwo jeszcze dobrze stoi, o odpowiedniej, celowej, a przewidującej jego redukcji, modyfikacji lub nawet przezornej likwidacji, aby ocalić przynajmniej kapitał i móc zużytkować go korzystnie na jakiemkolwiek innem, w danej epoce aktualniejszem i rentowniejszem polu — taka myśl jest zupełnie obcą mentalności ogółu dzisiejszych ludzi gospodarczych. Już nietylko stare przedsiębiorstwa rolnicze, przemysłowe lub handlowe, legitymujące swą wątpliwą rację bytu „tradycją pradziadów", ale nawet wszelkie nowe imprezy, na jakiejś chwilowej spekulacji oparte, mają pretensję rozwoju za wszelką cenę, choćby rzeczywistość wykazywała, jak na dłoni, ich nieżywotność.

W atmosferze takich pojęć i stosunków wzmagają się z jednej strony doktryny i odruchy antykapitalistyczne, antyspołeczne lub etatystyczne wszelkiego rodzaju, z drugiej zaś urabia się najfałszywsza pod słońcem ideologja, że t. zw. życie gospodarcze jest celem samym w sobie, że więc kwestja istotnej jego rentowności i potrzeby społecznej jest sprawą drugorzędną i że dlatego rządy i społeczeństwa mają święty obowiązek wszystkie, nawet całkiem nieżywotne objekty i imprezy gospodarcze za wszelką cenę podtrzymywać. Inaczej grozi rzekomo rewolucja, nędza i upadek państwa gospodarczy, a za nim i polityczny.

Absurd tej ideologji jest chyba oczywisty i bezsporny, nimniej jednak terrorem tej fałszywej logiki trzymają sfery gospodarcze niemal wszystkie rządy i społeczeństwa w ciężkiem jarzmie beznadziejnego, sztucznego podtrzymywania wszystkich prywatnych interesów, częstokroć wątpliwych, a nawet wprost szkodliwych. W atmosferę tę

trzeba wnieść raz nareszcie odświeżający powiew zdrowego liberalizmu, w pewnem tego słowa znaczeniu: uwolnić państwo i ogół z tej niewoli gospodarczej przez stwierdzenie i przyjęcie prostej zasady, że przedsiębiorstwa nieżywotne należy bezwzględnie pozostawić ich własnemu losowi i nie obawiać się, że ich naturalna likwidacja zaszkodzi w czemkolwiek potędze gospodarczej lub politycznej państwa. Nonsensem jest dawać wmawiać w siebie, że Polska straci przez bankructwo tego lub owego przedsiębiorstwa, lub nawet tysiąca nieżywotnych przedsiębiorstw, pasożytujących na kredycie publicznym lub prywatnym. Jakgdyby przez wycięcie jednego lub więcej wrzodów, gangrenujących krew, miał ucierpieć organizm! Zdaje się, że rzecz ma się wprost przeciwnie: wytnijmy wrzody, zniszczmy pasożyty przez injekcję zdrowych pojęć, a organizm gospodarczy napewno dozna ulgi i wzmocnienia.

Rzecz inna, że państwo nowoczesne winno także zerwać z zastrzykniętą mu przez nieboszczkę demokrację, a raczej demagogję, tendencją niszczenia całego gospodarstwa prywatnego, nawet najżywotniejszego i odpowiadającego istotnym potrzebom ogółu, bezkrytycznym fiskalizmem i jeszcze wstrętniejszym biurokratyzmem. Jest to najoczywiściej w świecie polityka samobójcza — wyczerpywanie do dna własnych źródeł dochodu. Panująca ideologja fiskalistyczna i biurokratyczna, wciskająca się gwałtem w najdrobniejsze komórki prywatnej pracy gospodarczej i miażdżąca każde najmniejsze przedsiębiorstwo, które ośmieli się jakąś skromną rentowność wykazać, jest w gruncie rzeczy tendencją antypaństwową, przejętą z bezmyślnej, destruktywnej doktryny walki klas, ale gorszą od socjalizmu o tyle, że nowoczesny fiskalizm państwowy lub samorządowy zwalcza nawet najuboższe sfery społeczeństwa. Nikt przecież rozumnie myślący nie uwierzy w celowość fiskalnej polityki państwowej, która z jednej strony wzywa wszystkie sfery obywatelskie do „wyścigu

pracy“ i urządza na ten temat wspaniałe zjazdy z pompatycznemi mowami, a z drugiej strony konfiskuje najlojalniej pracującym obywatelom w znacznej części—a nieraz i w całości—ich uczciwy zarobek, a nawet urządza licytację resztek mienia najbiedniejszym wyrobnikom w imię jakiejś przestarzałej, suchej, bezdusznej, a drakońskiej litery prawa!

Ten zachłanny fiskalizm, czatujący na pracującego obywatela z poza każdego węgła domu, jest nietylko nawskroś niesprawiedliwy i niemoralny, mimo swych wszystkich patrjotycznych frazesów, ale zarazem zaciera częstokroć możność wyraźnego rozróżnienia, które przedsiębiorstwa są naprawdę nieżywotne, a które zdrowe i tylko fiskalnym naciskiem niszczone. Zapewne, dzieje się wiele nieprawości w prywatnem życiu gospodarczem, wiele oszustw podatkowych ze strony ludzi, którzy podatki płacić mogą, panuje — jak wykazaliśmy powyżej — z gruntu fałszywa ideologja w prywatnych sferach gospodarczych, ale czyż wszyscy oszukują i czy wszyscy mają być skazani przez fiskalizm na zagładę?!

Wiele rzeczy zmieniły u nas rządy pomajowe. W wielu dziedzinach polityki wewnętrzno i zewnętrzno-państwowej, jak i w wielu dziedzinach dawniejszego nastawienia społeczeństwa, nastąpił zwrot radykalny, bardzo pomyślny. Ale na punkcie fiskalizmu państwowego żaden zasodniczy zwrot jeszcze nie nastąpił, żadna gruntowniejsza reforma w sensie korzystnym dla prywatnej pracy gospodarczej nie została wdrożoną. Wypowiadamy to, jako prorządowcy — i właśnie jako prorządowy — z całą otwartością i stwierdzamy, że cały, ogromnie już przestarzały, zokostniały, rujnujący i w rezultacie swem antypaństwowy system fiskalny czeka wciąż jeszcze na niezbędny „zamach majowy“, na wyrzucenie przez dzielnych ludzi za okno starych szpargałów fiskalno-biurokratycznej chińszczyzny, zrodzonej w kameralnych kancelarjach zaborczych i w demagogicznych mózgach Witosów, Daszyńskich i innych

protagonistów walki klasowej. Tego dotąd reżim pomajowy, mimo całej swej energji na innych polach, nie uczynił i na to właśnie czekamy. A jeżeli nie zdobędzie się na to prawnik-fiskalista, owiany ideą zdrowego rozsądku i głębszem zrozumieniem potrzeb państwa i społeczeństwa, to niech dokona tego pierwszy z brzegu wojskowy, choćby nie fachowiec, ale mający wyczucie potrzeb chwili i umiejący rozcinać szablą wszelkie węzły gordyjskie. Dobroczynną jest w skutkach nieraz mniej fachowa, ale zato zdecydowana ręka, gdy fachowcy, zakostnieli w formułach egzaminowych — in den Doktorfragen — nie są wstanie wybrnąć z dylematu i widzą piętrzące się przed sobą Himalaje tam, gdzie są w istocie tylko lotne wydmy wstrętnego, uprzykrzonego piasku.

Stanowcze zwalczenie i gruntowna reforma niszczącego pracę narodową fiskalizmu jest jednem z najważniejszych nowoczesnych zadań rządu i społeczeństwa, którego zwłaszczaj sfery gospodarcze stanąć winny zjednoczonym frontem przeciw nadmiernemu przerostowi skarbowości publicznej. Ale chcąc to skutecznie uczynić, chcąc uzyskać moralne prawo do takiego wystąpienia, muszą sfery te najpierw oczyścić się i usprawiedliwić w oczach społeczeństwa i wszystkich miarodajnych w państwie czynników, inaczej bowiem głos ich, na przestarzałych pojęciach i aspiracjach oparty, będzie brzmiał ciągle fałszywą nutą i przeciwstawiał się mimowoli ewolucji pojęć ogółu. Jeżeli np. kupiec twierdzi, że jego sklep jest po wszystkie czasy niezbędny dla państwa i społeczeństwa w każdych warunkach i stąd za każdą cenę i wszelkim kosztem, prywatnym czy publicznym, musi być podtrzymany bez względu na swą rentowność i istotną rację bytu, jeżeli dalej twierdzi, że skoro ojciec jego i dziad ten sklep pomyślnie utrzymywali, a z nim razem i wysoką skalę swego życia, to i on musi ten sklep i stopę życia w podobnej skali, mimo wszelkich zmian warunków, utrzymać i niczem innem być nie

może, jak tylko kupcem w danej branży — to wobec takiej zakostniałej, nieżyciowej mentalności będzie miał całą opinję publiczną i politykę władz przeciw sobie. Niechże potem nie skarży się mylnie, że w danej epoce nastawienie władz jest rzekomo „lewicowe“. Ono wcale lewicowem nie jest, tylko ewolucja pojęć na rolę i cele życia gospodarczego poszła naprzód, wytrzeźwiała i nowoczesne społeczeństwo przestaje już uznawać za słuszną i patrjotyczną taktykę ustawicznego galwanizowania trupów gospodarczych kosztem państwa i ogółu. Bo w istocie, co winno państwo, co winien ogół obywateli, że temu lub owemu przedsiębiorcy źle się wiedzie? Jeżeli jest niezdolny, nieelastyczny, lub jeżeli jego warsztat rolny, przemysłowy, czy handlowy jest w danym okresie nieaktualny, to niech go zwinie bez hałasu, bez nadwyrężania grosza i kredytu publicznego i niech zajmie się użytecznie czemś innem.

Rzecz tak prosta i sama przez się zrozumiała we wszystkich innych zawodach! Dlaczego zawód gospodarczy miałby stanowić wyjątek? Zbyteczny urząd lub nieaktualna już instytucja społeczna, w których także wiele osób jest zainteresowanych, bywają redukowane lub likwidowane bez żadnej ceremonji, a ich kierownicy i pracownicy szukają sobie innych zajęć. Opinja publiczna uważa, że ta rzecz jest w porządku i krytykowałaby raczej, gdyby nieużyteczny już urząd czy inna instytucja miała być bez potrzeby podtrzymywana przy życiu kosztem grosza publicznego. Traktowanoby to jako dowód karygodnego protekcjonizmu. Dlaczego więc warsztaty gospodarcze — będące przecież w gruncie rzeczy prywatnemi przedsiębiorstwami — mają być inaczej traktowane, na zasadach jakiejś specjalnej protekcji?

Czas już ostatni, aby świeże, trzeźwe zapatrywania na te sprawy utorowały sobie drogę w opinji publicznej i to właśnie w imię uzdrowienia kapitalizmu i opancerzenia go przeciw doktrynom etatyzmu i społecznego wywrotu. Nie-

masz bowiem większej podniety zarówno dla etatyzmu i fiskalizmu, jak i dla marksowskiej doktryny, jak chorujący, przestarzały, niezdarny i walący się od wewnątrz kapitalizm. Traktujmy więc pojęcie kapitalizmu i opartego na nim prywatnego życia gospodarczego indywidualistycznie, jako prywatne imprezy, z których te, które są aktualne i mądrze prowadzone, utrzymają się i tak same, odpowiadając prawdziwym potrzebom społeczeństwa, a nieaktualne lub źle prowadzone, nieodpowiadające potrzebom ogółu, niech giną i niech żaden żal po nich nie pozostaje. Jeżeli kopana studnia trafi na wodę, której okolica potrzebuje, to nie będzie potrzeby utrzymywania jej daremnym kosztem ogółu; jeżeli zaś wody nie znajdzie, to szalonym byłby ten, kto chciałby podtrzymywać ją dolewając sztucznie wody. A przecież taki absurd popełnia państwo podtrzymując „wyschnięte“ interesy prywatne!

Gdyby więc ogół sfer gospodarczych — nie wyjątkowo, w chwili bankructwa, ale wogóle — przyjął zasadę, że każdy warsztat gospodarczy ma tylko o tyle rację bytu, o ile odpowiada rzeczywistej potrzebie swej klijenteli i temsamem jest rentowny, to walka z kryzysem gospodarczym, jakikolwiek jest jego charakter, przybrałaby całkiem inne oblicze. Przedewszystkiem bowiem przedstawiciele sfer gospodarczych, uwolnieni z paraliżującej psychozy niezbędnej rzekomo konieczności rozwoju życia gospodarczego za wszelką cenę i podtrzymywania dla zasady wszelkich warsztatów pracy, nawet widocznie nieaktualnych, zaczęliby nareszcie — rozsądnie i szczerze rozmawiać. Bo dotąd nikt na serjo, szczerze, uczciwie nie mógł traktować problemów gospodarczych. Wiadoma rzecz, że delegaci na wszelkie tego rodzaju konferencje, wszyscy mówcy i pisarze ekonomiczni mają jedną przedewszystkiem, walną sprawę zawsze na oku: niech cały świat się zapadnie, byle tylko dany folwark, dany fotel prezydjalny lub dyrekcyjny, dany najnieżywotniejszy nawet warsztat pracy i interes po-

został nietknięty. Niech się dzieje, co chce, niech będzie deflacja lub inflacja, załamanie waluty, etatyzm, bolszewizm lub polipowa gospodarka kartelowa, byle tylko dany geszeft, przez danego pana reprezentowany, nietylko uniknął wstrząśnienia, ale choćby nawet tylko umiarkowanej, celowej reformy!

A w takich warunkach, w takiem nastawieniu umysłów gospodarczych, nieszczerem, na wskroś antykupieckiem, przyzna każdy, że wszelka sanacja stosunków gospodarczych jest niemożliwą, mimo wszelkich przemówień wybitnych ludzi i mimo całego trzosu frazesów, którymi operują. Chory, który chce wyzrowieć, musi przedewszystkiem przyznać się do tego, że jest chory, że jest w jego organiźmie coś nie w porządku. Inaczej bowiem mowy być nie może na serjo o leczeniu.

W bieżącej epoce ileż to tysięcy ludzi inteligentnych, pracowitych i zasłużonych w swoim zakresie musiało wskutek konjunktur powojennych zmienić swój zawód i wdrażać się w inny zakres pracy. I wielu z nich przebyło tą zmianę konieczną spokojnie, szczęśliwie, zapominając o przeszłości i działając z pożytkiem na nowem polu. W sferach gospodarczych zaś panuje powszechnie teza, że taka zmiana, lub choćby nawet tylko modyfikacja zawodu jest niemożliwa. Stąd też w żadnym zawodzie niemasz dzisiaj tylu bankrutów materjalnych i moralnych i tylu szkodliwych pasożytów, jak właśnie w zawodzie gospodarczym. A najmniejsza, najżyczliwsza uwaga w tym kierunku spotyka się odrazu z wrogiem nastawieniem „zrzeszonego frontu sfer gospodarczych“.

Oczywiście, wszystkie te sztuczne wysiłki podtrzymywania starych wyobrażeń, że życie gospodarcze jest celem samym w sobie, że rozwój gospodarczy rozwijać się musi za wszelką cenę, choćby chwilowo żadnych nie miał warunków, że wszystkie warsztaty wytwórcze i handlowe są niezbędne dla państwa i dlatego państwo ma obowiązek

wszelkim kosztem je podtrzymywać — są całkiem daremne. Prawo naturalnej selekcji jest nieubłagane także i w życiu gospodarczm. Co ma zginąć, to i tak zginie, mimo wszelkiej pomocy państwowej, mimo wszelkich kredytów, banków akceptacyjnych, premji, kartelów i innych rozpaczliwych zastrzyków. Co zaś zdrowe i aktualne, to się utrzyma mimo wszelkich przeciwności, a tylko odpowiednio zredukuje się, zreformuje, przeistoczy i obniży rozumie skalę swych aspiracji. To właśnie niejeden rozumny człowiek gospodarczy w Polsce już oddawna robi i ci ludzie nietylko nie odczuwają zbytnio kryzysu, ale mają nawet dość poważne dochody netto. Znamy takich ziemian i takich przemysłowców. Niestety, są to zawsze jeszcze tylko wyjątki. Ale bądź co bądź są to ludzie, którzy odkryli sami sfinksową zagadkę, że wobec panującej dzisiaj na całym świecie silnej progresji świadczeń publicznych — ograniczenie warsztatu pracy i znaczne zmniejszenie dochodów brutto podnosi czysty zysk z przedsiębiorstwa. Nie rozumie tego widocznie ogół naszych przedsiębiorców, który żyje w gruncie rzeczy z ogólnej masy dochodu brutto, czyli w istocie z deficytu, a zgadza się na redukcję lub modyfikację swych warsztatów dopiero pod presją wierzyciela lub komornika sądowego. A reforma warsztatów w takich warunkach, pod miażdżącym ciężarem zobowiązań, jest dla prywatnego człowieka rzadko kiedy możliwą do przeprowadzenia i stąd chwiejące się nasze warsztaty gospodarcze albo bankrutują z trzaskiem, albo przechodzą na własność państwa. To ostatnie zaś jest najfałszywszą polityką ekonomiczną z państwowego punktu widzenia.

Ale grutowna reforma ram, aspiracji i celów gospodarstwa prywatnego w każdem państwie w myśl powyższej zasady naturalnej selekcji narzuca się jeszcze z innej przyczyny. Każde bowiem, choćby napół cywilizowane państwo wywiesza dzisiaj sztandar t. zw. samowystarczalności gospodarczej. Wszędzie wzmaga się ambicja, aby mo-

żliwie uniezależnić się od importu, a zwłaszcza od importu fabrykatów. Wobec tego ilość krajów „egzotycznych“, w handlowem tego słowa znaczeniu, coraz bardziej maleje, a z tem razem kurczą się i rozmiary eksportu z każdego państwa. Jeszcze istnieją dzisiaj pewne rynki eksportowe, zwłaszcza dla pewnych kategorji towarów, ale z każdem dziesięcioleciem rynki te tracą na chłonności wskutek rozwoju rodzimej produkcji w danych krajach. Zbliża się czas, kiedy eksport ograniczy się do jakiegoś minimum, stosunkowo niewielkiego, ściśle określonego takimi produktami, których w pewnych państwach stale będzie brakować z przyczyn naturalnych.

Jasnem więc jest dla każdego przewidującego ekonomisty, że ta okoliczność nałoży na produkcję odpowiedni hamulec, ograniczając ją głównie do pojemności wewnętrznego rynku w każdem państwie, zwłaszcza, że system masowej, maszynowej produkcji, oraz wyśrubowanej na wysoki poziom organizacji pracy robi tak olbrzymie postępy, iż mimo szybkiego przyrostu ludności zdradza ciągle zdolności i tendencję do nadprodukcji.

Stąd wzmaga się — wśród różnych wahań — coraz bardziej kryzys, zwłaszcza w wielkich centrach przemysłowych, powstałych ongiś dla ogromnie pojemnych rynków. Ale dziś we wszystkich częściach świata powstają huty żelazne, fabryki maszyn, wielkie przędzalnie i t. d., wobec czego racja bytu wielu dawnych ośrodków wielkoprzemysłowych maleje. Szukają one wprawdzie konwulsyjnie i znajdują jeszcze tu i ówdzie obce rynki zbytu, czasowe i niepewne, ale są to jakby ostatnie podrygi gasnącego systemu. Wszak ze wzrostem kultury gospodarczej na całym świecie, maleć muszą także możliwości eksportu.

Jest to proces nieunikniony, który zachłanna polityka różnych mocarstw może przez czas pewien jeszcze w różnych, podległych im gospodarczo krajach sztucznie hamować, ale na dłuższą metę i ona nie będzie wstanie zatamo-

wać tego całkowicie. W końcu nawet tak pojemne dotąd Chiny przestaną być lukratywnym rynkiem eksportowym na większą skalę.

Z tem trzeba się też bardzo poważnie liczyć. Nie wolno poważnym sferom gospodarczym nie brać tego pod uwagę w ich planach i dążeniach i chować, jak struś, głowę w krzaki przed rzeczywistością. Normując ogólną skalę gospodarstwa krajowego, należy starać się przedewszystkiem o dostosowywanie jego rozmiaru do pojemności rynku wewnętrznego i wyeliminowania z niego, w miarę możności, obcego importu; natomiast możliwości eksportowe winny być traktowane niejako na drugim planie, konjunkturalnie. W konsekwencji zaś daremnym byłby wysiłek podtrzymywania tych wielkich ośrodków produkcji, które rozbudowane zostały niegdyś na wielki i daleki eksport, a obecnie nie mają już tej racji bytu i stają się prawdziwym ciężarem dla organizmu gospodarczego. Wyjątek mogą tu stanowić tylko przedsiębiorstwa, wyrabiające jakiś towar o bardzo wysokiej jakości, a więc i wielkiej zdolności konkurencyjnej.

Reasumując więc narazie powyżej uzasadnione tezy, stwierdzić musimy, że:

1) życie gospodarcze nie może być traktowane jako fikcyjna zbiorowość, ale jako to, czem jest w istocie, mianowicie jako szereg odrębnych interesów różnych osób i spółek,

2) życie gospodarcze nie jest celem samym w sobie, ale ma o tyle tylko rację bytu, o ile odpowiada rzeczywistym potrzebom materjalnym społeczeństwa,

3) przedsiębiorstwa, odpowiadające powyższemu warunkowi, a przytem racjonalnie prowadzone, są rentowne same przez się, nie potrzebują więc sztucznej pomocy funduszów postronnych,

4) przedsiębiorstwa, nie odpowiadające powyższemu

warunkowi, powinny zniknąć, aby nie być nieużytecznym ciężarem dla ogółu,

5) przedsiębiorstwa pośrednie między obu powyższemi kategorjami winny odpowiednio zmodyfikować się lub przeistoczyć zawczasu, swobodnie, bez wyczekiwania momentu ostatecznego upadku,

6) ustawiczny rozwój gospodarczy i dążność do coraz większego bogacenia się są rzeczą tylko pożądaną, ale bynajmniej nie konieczną za wszelką cenę i we wszelkich warunkach,

7) sfery gospodarcze winny koniecznie — pod sankcją coraz groźniejszego upadku prywatnego kapitalizmu, swobody gospodarczej inicjatywy i możności zarobkowania — przedsięwziąć grutowną rewizję pojęć o celach i zadaniach pracy gospodarczej w powyższym duchu,

8) państwo również powinno pamiętać o oczywistej prawdzie, że ono jest dla obywateli, a nie obywatele dla jakiegoś abstrakcyjnego, fikcyjnego pojęcia państwowego i dlatego winno jak najrychlej przeprowadzić gruntowną reformę swego fiskalizmu tak, żeby świadczenia publiczne nie rujnowały warsztatów pracy, nie udaremniały kapitalizacji prywatnej i nie tamowały przez to inicjatywy i tężyzny gospodarczej obywateli.

Wszelkie dotychczas zakorzenione pojęcia, tendencje i dogmaty państwowo-prawne, społeczne lub prywatno-zarobkowe, które sprzeciwiają się powyższym, oczywistym i naturalnym tezom, a wśród nich nawet te, które popierane są wciąż jeszcze ze skrajnym oportunizmem przez wiedzę naukowo-prawniczą, fiskalną czy ekonomiczną, winny być usunięte lub głęboko zreformowane w imię zasad t. zw. zdrowego rozsądku. Wiek XX obala kolejno wszelkie przesądy i chlubi się jako epoka trzeźwości i postępu. Niechże więc nie toleruje na polu gospodarczem zakostniałej chińszczyzny egoistycznych aspiracji prywatnych

z jednej, a omszałego, rujnującego systemu fiskalno-kameralnego z drugiej strony.

Co grozi w razie niespełnienia powyższych postulatów? Co państwu grozi, tego tłumaczyć nie potrzeba, bo dalszy rozwój dotychczasowego fiskalizmu, to oczywiste czerpanie z wysychającej studni, osłabianie lekkomyślne siły płatniczej społeczeństwa i w ostatecznym rezultacie torowanie drogi coraz skrajniejszym systemom gospodarczym, aż do nieuniknionego komunizmu. Przesadni wyznawcy ingerencji i supremacji państwa na polu gospodarczem powinni wiedzieć, że ta ich dążność, nawet wbrew najlepszej ich woli, musi w ostatecznej konsekwencji do kollektywizmu doprowadzić.

Ale co nie jest jeszcze ugruntowane w powszechnej świadomości, to fakt, że uporne trwanie przy dotychczasowem systemie pojęć i celów gospodarczych ze strony sfer prywatnych musi stan rzeczy pogarszać, kryzys stale pogłębiać, etatyzm wzmagać, ludzi ubożeć i prowadzić ostatecznie również do komunistycznych konsekwencji. Wszak kryzys obecny, jak już raz podnosiliśmy w tem piśmie, nie jest już dawno kryzysem powojennym, którego główną cechą był niedostatek wszystkiego. Dzisiaj zaś sytuacja charakteryzuje się wybitnie wielkim nadmiarem wszelkich wartości gospodarczych i to nadmiarom, strasznie głupio i niesprawiedliwie rozłożonym. W jednem miejscu ludzie masowo wymierają z głodu, lub skrajną cierpią nędzę, gdy w drugiem, niedaleko, marnują się dla jakichś spekulacji olbrzymie zapasy w magazynach. A to wszystko dzieje się w epoce błyskawicznych środków lokomocji i nie mniej błyskawicznie działającego (jeżeli tylko chce!) aparatu finansowego. Tu olbrzymie płace jednostek (i to wcale nie wyjątkowych), najczęściej absolutnie nieproporcjonalne do ich świadczeń i zasług, tam znowu liczne rzesze bezrobotnych. Tu nadmierny rozpęd maszynowy, który rzekomo nie może być zahamowany — znowu absurdalna, ale za-

zdrośnie strzeżona teza sfer gospodarczych! — tam niemożność racjonalnego zbytu wyprodukowanych tym maszynowym rozmachem dóbr i karygodne marnowanie ich w magazynach.

W rezultacie tego wszystkiego: chroniczny kryzys społeczno-gospodarczy, zaostrzenie się nienawiści klasowej, strajki, zatamowanie prawdziwego postępu, cofanie się w kulturze do epoki jaskiniowej (z dodatkiem nieznanych dawnym jaskiniowcom karabinów maszynowych i masek gazowych), powszechna proletaryzacja wszystkich i wszystkiego, a wśród tego coraz liczniejsze, masowe, niebywałe skandale w najpoważniejszych sferach i widoczny upadek moralny i materjalny samychże kierujących sfer gospodarczych. Istotnie, możnaby w ten sposób sformułować najracjonalniej obecną sytuację całego życia gospodarczego, że — poza oczywiście wyjątkami, może jeszcze nawet i licznymi — składa się ono albo z bankrutów, ewentualnie kandydatów na bankrutów, albo z aferzystów, częścią już skompromitowanych, a częścią jeszcze niedostatecznie zdemaskowanych.

Pesymistyczna ta charakterystyka zawiera jednak bardzo dużo prawdy, a codzienne odkrycia potwierdzają niestety coraz bardziej tą regułę. Najgorszym jednak z tego wszystkiego jest wyżej wspomniany, zrzeszony, świadomy lub podświadomy opór wszystkich sfer gospodarczych przeciw wszelkim próbom rewizjonizmu przestarzałych zasad i metod, na których wciąż jeszcze gospodarka kapitalistyczna się opiera — i zwolna upada. Czyż w takich warunkach, w takim upadku, zakostnieniu i nastroju zdoła kapitalizm oprzeć się żywiołowo działającej doktrynie kollektywizmu, zwłaszcza wobec faktu, że doktryna ta, z początku bezmyślnie burządza, wchodzi teraz w stadjum coraz poważniejszej bądź co bądź twórczości.

Czyż zdołają zwolennicy ciężko chorego, niezdarnego, płodzącego wymienione poprzednio absurda kapitali-

stycznego reżimu, nacechowanego już tylko bezkrytyczną zachłannością zarobkową z dnia na dzień, bez poważnej myśli o jutrze, bez śladu zdrowej autokrytyki i szczerej chęci naprawy, wytrzymać na dłuższą metę w opinji szerokich mas, a zwłaszcza w opinji młodzieży, porównanie z energicznie, sprawnie i z żelazną konsekwencją działającą doktryną Marksa, zwłaszcza w miarę zanikania w Sowietach terrorystycznego systemu?

Ciężkie mamy pod tym względem wątpliwości, czy ogół naszego młodszego, a zwłaszcza najmłodszego pokolenia — gdy tylko pewne nietolerancyjne ostrości znikną z ustroju sowieckiego — da się pociągnąć symbolem ultrakonserwatywnego prezesa zarządu spółki kapitalistycznej, przeładowanego ogromnymi, w istocie niczem nie usprawiedliwionymi dochodami, wrogiego wszelkiej reformie przestarzałego systemu pojęć i metod gospodarczych, niż raczej symbolem entuzjastycznego, ideowego pracownika dla państwa, dla ojczyzny, choćby ojczyzna ta miała regulować przemożnie każdy jego krok i zarobek?

Niebezpieczeństwo tego wyboru jest istotnie wielkie, bezpośrednie i „konkretne“ — mówiąc ulubionym językiem realistów gospodarczych.

A gdzie zagraża niebezpieczeństwo, tam oczywiście trzeba się bronić. Nie gadać, nie konferować, nie rzucać słuchaczom w oczy piaskiem pięknie zaokrąglonych, pseudo-naukowych, ekonomicznych frazesów przez usta różnych „wybitnych przedstawicieli, wybitnych sfer gospodarczych“ — ale działać: zwalić szkodliwy już dzisiaj system myślenia naszych gospodarczych „dziadów i pradziadów“, rozdmuchany ad absurdum w ciągu ostatnich dwóch wieków bezbrzeżną zachłannością „nowoczesnej“ gospodarki wielkokapitalistycznej, a na miejscu tego obalonego systemu ustalić zasady nowe, proste i oczywiste.

Niech każdy zarabia, gdzie może i jak może, byle uczciwie, ale niech nie gospodaruje fikcją zarobku, gdzie

on jest niemożliwy, nieaktualny i czerpany naprawdę tylko z długów — z dochodów brutto — i z narastania na przedsiębiorstwie ciężarów. Wszak dzisiaj gospodaruje się naogół faktycznie taką buchalterją pojęć, jakgdyby uzyskany kredyt lub podpisany weksel był pozycją dochodową! Gospodarka krajowa, światowa i prywatna zaciąga w szalonym pędzie coraz większe zobowiązania, suma jej zadłużenia wzrasta do cyfr tak astronomicznych, że stała się już bezwzględnie fikcją, której przenigdy już spłacić i zamortyzować nie będzie się wstanie. Miljonowym w istocie wartościom gospodarczym odpowiadają miljardowe długi, które ciążą ołowiem nad życiem gospodarczem i społecznem, a ciążą tem bardziej, że z tych długów właściwie się żyje i one to tylko zapładniają dalszy „rozwój gospodarczy“. Czyż to nie tragiczna sprzeczność sama w sobie? Możnaby jednak znaleźć z tego wyjście, a na razie przynajmniej jakieś racjonalne zapoczątkowanie wyjścia. Ale pierwszym warunkiem tego startu jest konieczność zasadniczej zmiany poglądów na właściwą istotę, charakter i cele życia gospodarczego, obnażenie tego pojęcia z wszelkich zbiorowych, patrjotycznych obsłonek i postawienie całego zagadnienia na punkcie racjonalności i rzeczywistej rentowności każdego prywatnego przedsiębiorstwa, którego rozwój lub likwidacja nie powinny mieć nic wspólnego z pojęciem dobra powszechnego, lub państwowego obowiązku.

Z każdym rokiem pogłębia się u nas, w gronie Naszej Przyszłości, przekonanie, że wszelki dalszy opór sfer gospodarczych przeciw tym najoczywistszym prawdom i postulatom zdrowego rozsądku jest daremny i osłabia tylko ich zdolność do regeneracji i stanowisko ich w społeczeństwie i odporność wobec doktryn etatyzmu lub nawet wywrotu. Ale, jak dotąd, nie widzimy nigdzie w poważnych sferach gospodarczych szczerej chęci do refleksji i nawrotu, natomiast tylko upartą tendencję do beznadziejnego

omawiania w kółko t. zw. „konkretnych szczegółów". A trwoży nas ta nieugiętość i zaślepienie tembardziej, że upadek sfer gospodarczych pociąga za sobą w nieuchronnej konsekwencji upadek ustroju kapitalistycznego wogóle, a z nim razem szeregu fundamentalnych zdobyczy cywilizacji, nie mówiąc już o kwestjach wiary i etyki. Z tego więc właśnie względu występujemy z takim naciskiem przeciw marazmowi i fałszywemu nastawieniu sfer gospodarczych. Nie bolałoby nas to wcale, gdyby ginęły tylko warsztaty, których właściciele lub kierownicy są oporni na głos rzeczywistości i rozsądku. Kto chce, niech ginie! Nie jesteśmy przedsiębiorstwem ratunkowem i stanowczo nie powinno być niem także i państwo. Ale chodzi nam o obronę cywilizacji, która wskutek lekkomyślnej, kolosalnie wypaczonej i przez to popadającej w bezwład gospodarki kapitalistycznej zaczyna być poważnie z różnych stron zagrożona.

A pragniemy, żeby niezbędna reforma — której i tak uniknąć się nie da — wyszła od wewnątrz i działała uzdrawiająco, niż żeby ustrój kapitalistyczny ginął stopniowo od zewnętrznych ciosów, z których już nie będzie wstanie się podźwignąć.

Wobec szczególnej ważności tego problemu, który zdołaliśmy tu dotknąć oczywiście tylko w ogólnym zarysie — chociaż, zdaje się, dostatecznym dla zasadniczego wyłożenia sprawy — otwieramy dyskusję, proponując Szanownym Czytelnikom, którzy mają w tej kwestji coś do powiedzenia, aby zechcieli zabrać głos i to w sposób otwarty, zdecydowany. Nie czas już na delikatne, dyplomatyczne, taktowne frazesy i półsłówka! Najuczeńsza i najsubtelniejsza rozprawa z tej dziedziny zachwycić może co najwięcej garstkę specjalistów-teoretyków, ale wiemy

doskonale z doświadczenia, że praktycznych rezultatów nie osiągnie, nie wstrząśnie ani „ustabilizowanym systemem“ prywatno-gospodarczym, ani biurokratyczno-fiskalnym. Tu całkiem innego trzeba tonu i argumentów, bijących taranem — aż do skutku.

Redakcja

PRAWDA TŁA DZIEJOWEGO „OGNIEM I MIECZEM".

Świeżo wydane dwie prace prof. d-ra Olgierda Górki, a to „Dziejowa rzeczywistość a racja stanu Polski na południowym Wschodzie" [1]) (Warszawa 1934, „Libraria Nova", str. 32) i „Ogniem i Mieczem" a rzeczywistość historyczna" (Warszawa, 1934 r., str. VI + 140) [2]) stanowią cenne wzbogacenie nauki. Wywołały zaś całą burzę, również dla nauki cenną. Sine ira et studio staram się je tu dokładnie omówić. „Studium" bowiem — cum grano salis — widzę po obu stronach u polemistów w sporze powyższym — a, że „cum ira" pisze p. Górka — to sam przyznaje („O. i M." str. 102). Coprawda — do sporu powyższego wciąż przybywa materjału, ale obrawszy jako temat mych rozważań bezpośrednio najbliższy okres pierwszych polemik, już teraz właśnie głos zabieram.

W „Dziejowej rzeczywistości" (str. 5) zaznaczył dr. Górka, „że całe obecne pokolenie Polaków patrzy na swą przeszłość nie przez rezultaty badań naukowych,.. ale przez genjalną sugestję niezrównanego powieściopisarza... Wobec rzeczywistości... sugestję Sienkiewicza, którą ogół polski w swem odczuwaniu historycznem rozciągnął właściwie na całą naszą przeszłość przedrozbiorową, usprawiedliwiają jego własne serdeczne, a głębokie słowa, że tworzył dla „pokrzepienia serc słabnących". Jeśli więc większość polskiego ogółu w zakresie polskich dziejów w e w n ę t r z-

---

[1]) Przedruk z „Polityki Narodów", W-wa 1933, zesz. 1 — 2.

[2]) „ponowne i łączne wydanie... artykułów w sprawie historyczności „Ogniem i mieczem", oraz rozwoju twórczości H. Sienkiewicza w ramach t. zw. Trylogji" (ibidem, str. III, „zamiast wstępu").

nych myśli kategorjami Bobrzyńskiego, to odczuwa dzieje zewnętrzne i wojskowe nastrojami z pod pióra Sienkiewicza". — Z kolei, zastrzegając się słusznie na str. 19, iż „Akcje kozackie na morzu Czarnem... prowadzone... były... wbrew naszym zakazom i naszym interesom państwowym", zaznacza również słusznie, iż „sprawa Ukrainy, czy Kozaczyzny jest właśnie tą kwestją historyczną, która w naszej literaturze najwięcej wywołała sądów i opinji rozbieżnych... rozegraliśmy zagadnienie kozackie w każdym razie możliwie najgorzej" (str. 25).[1]).

P. Górka poruszył istotnie tematy pierwszorzędnej doniosłości, a za wywołaną przezeń dyskusję, rzucającą światło postępu na dzieje nasze XVII w., może być nauka i ogólna opinja polska tylko wdzięczna, aczkolwiek nie zgodzi się na śmiałą jego tezę, że „wśród całej tej powodzi protestów i prób kwestjonowania mych poglądów, nie padł na szali walki polemicznej ani jeden cytat, ani jedno źródło, ani jeden tytuł książki, ani jeden wreszcie przemożny argument, który... mógłby zmusić do wycofania się bądźto wogóle z zajętego stanowiska, bądźto chociażby z pewnych, podniesionych w mem przedstawieniu tych spraw, szczegółów", — zwłaszcza, że autor przyznaje, iż „nie miał możności zapoznania się z wszystkimi bez wyjątku poglądami, jakie ukazywały się w ciągu pojawienia się artykułów" jego (str. IV i V „Zamiast wstępu", „Ogniem i Mieczm" d-ra Górki). Słusznem jest natomiast twierdzenie d-ra Górki, że nietrafnie przypisano mu „napaść na Sienkiewicza, jego twórczość i „Trylogję" (str. VI ibidem). Dowodzi tego m. in. zastrzeżenie w pierwszym z jego już historycznych artykułów w „Pionie" warsz. (op. cit. str. 4): „sam (sc. Sienkiewicz) dał literacką eks-

---

[1]) Bardzo słuszne uwagi o interesach panującego i Rzplitej zamieścił dr. Górka ibidem, str. 31.

piację za jednostronność obrazu „Ogniem i Mieczem“, (ib. str. 8). Prostuje dane wiekiego pisarza o ks. J. Wiśniowieckim, Bohunie, Krzywonosie, Krzyczewskim i t. d. i t. d. Artykuł ów — i następne — d-ra Górki, wywołał zastrzeżenia w prasie i nauce polskiej, z czego potem urosła pokaźna polemika; przedstawiam ją więc krytycznie: dyr. Muzeów m. we Lwowie, dr. Aleks. Czołowski, w art. p. t. „Rzeczywistość historyczna d-ra Olgierda Górki“ w „Kuryerze literacko-naukowym“, dod. do n-ru 22 krak. „Il. Kuryera Codz.“ z dnia 22 stycznia 1934 r. na str. III—V, nazywając p. Górkę mylnie kierownikiem Instytutu Orjentalistycznego w Warszawie (gdyż prof. Górka pełni obowiązki sekretarza generalnego Instytutu Wschodniego), zastrzega się przeciw jego „metodzie rewolucyjnej, wprost rewolwerowej,... tak ze względu na interes n a u k o w y, jak i n a r o d o w y“. W artykule swym za nisko ocenia p. Czołowski stanowisko naukowe p. Górki i nazywa jego tezy „herezjami“, broniąc przedewszystkiem osoby ks. Wiśniowieckiego, przyczem powołuje się głównie na „Diarjusz“ Bohdana Maszkiewicza (Zbiór pamiętników hist. t. V, str. 80 — 120) i „Litopyś“ S. Wełyczki (Kijów, 1848, t. I, str. 78—9), oraz na monografję doc. Wład. Tomkiewicza „Jeremi Wiśniowiecki“ (W-wa 1933). Uwagi krytyka są discutables; wreszcie dochodzi on do konkluzji, że dr. Górce idzie o „a u t o r e k l a m ę d l a r o z g ł o s u“ „i s ł a w y... choćby nawet H e r o s t r a t o w e j“. Dyskusja też się wywiązała; według sprawozdania Dr. Zofji Krzemickiej ze Lwowa w „Kur. liter.-nauk.“ dod. do „I. K. C.“ Nr. 50 ex 19.II 1934 r. str. I i II z cyklu wykładów o Kozaczyźnie w Uniw. Powsz. we Lwowie w związku z tezami rewizjonistycznemi d-ra Górki, podczas wykładów tych (pp. Tyszkowskiego i Zakrzewskiego) wykazał prof. Stanisław Zakrzewski sienkiewiczowski „rzadki u m i a r a r t y s t y i s p r a w i e d l i w o ś ć h i s t o r y k a w równomiernem rozłożeniu świateł i cieni

na postaciach stronników C h m i e l a, zarówno jak i na przedstawicielach społeczeństwa polskiego". Według powyższego sprawozdania uznał prof. Zakrzewski, że sąd krytyczny Sienkiewicza o „Szkicach historycznych" Ludw. Kubali, oparty poniekąd na poglądach rewizjonistycznych Szujskiego, „pokrywa się z mniej więcej równocześnie ogłoszoną krytyką Michała Bobrzyńskiego". Z kolei podaje dr. Krzemicka, że wedle prelekcji prof. Zakrzewskiego „Wyeliminowanie S k r z e t u s k i e g o ze społeczności polskiej na podstawie notatki n u n c j u s z a T o r r e s a, nie wytrzymuje skalpelu krytyki historycznej", a „Także próby odebrania ruskim szeregom pułkownika M a k s y m a K r z y w o n o s a, a zrobienia zeń s z k o c k i e g o k o n d o t i e r a, utrzymać się nie dadzą". „Również próby r a s i s t y c z n e g o w y ł ą c z e n i a k n i a z i a J a r e m y z obozu polskiego uważa Zakrzewski za zbyt ś m i a ł e". „Również zarzuty, dyskwalifikujące pod względem moralnym J a r e m ę, ...nie ostoją się w ogniu polemiki" — „pisarze tej miary, co Sienkiewicz, są prawdziwymi n a u c z y c i e l a m i h i s t o r j i dla społeczeństwa w większej nawet mierze, niż fachowi historycy. Sienkiewicz spełnił tedy w zupełności swój obowiązek naukowy i obywatelski, a żadne krucjaty nie umniejszą ani wartości, ani znaczenia jego arcydzieła".

Poruszane niniejszem przezemnie kwestje zyskują na traktowaniu każdej z nich osobno.

W stosunku zatem do powyższej ostatniej tezy prelekcji lwowskiej prof. Zakrzewskiego zauważyć należy, iż dr. Górka stwierdził właśnie, że „Sienkiewicz sam jeden na obecne polskie odczuwanie swej przeszłości wywarł silniejszy wpływ, niż setki tomów rozpraw naukowych" („Dziejowa rzeczywistość — „Poityka Narodów" 1933, str. 5 i oddz. wyd. „Ogniem i Mieczem", str. 32 — i t. p.), w czem zatem tezy obu profesorów U. J. K. są zgodne, a czemu próżno przeczy p. St. Szpotański na łamach

„Kurjera Warszawskiego“ (1933, Nr. 339) słowami: „nie słyszałem dotąd, aby ktokolwiek o wojnach tureckich albo kozackich uczył się z Trylogji Sienkiewicza“. Idzie tylko o to, że dr. Górka zarzuca Sienkiewiczowi przytem „fakt odwrócenia obrazu historycznego w „Ogniem i Mieczem“, które to stanowisko d-ra Górki ne zgadza się już ze stanowiskiem prof. Zakrzewskiego, przedstawionem w powyżej cytowanem sprawozdaniu dr. Z. Krzemickiej.

Jak już wspomniano, kampanję przeciw p. Górce zaczął p. Czołowski. Jemu też w pierwszym rzędzie odpowiada p. Górka, nazywając wystąpienie prasowe swego oponenta „atakiem gazowym“. W swej broszurze o „Ogniem i Mieczem“ ograniczył się dr. Górka „do połączenia w jednym artykule — wszystkich uwag historycznie istotnych, zarówno z „Odprawy“, jak z „Oświadczenia“ (Pion II Nr. 5 i 9)“, „uważał bowiem za zbyteczne przedrukowywanie wyjaśnień, że rzekomy zarzut wyzyskuje ewidentną pomyłkę druku, skoro ta pomyłka w numerze dokumentu jest obecnie usunięta“. Otóż, w partji swej pracy p. t. „O historyczności“ „Ogniem i Mieczem“ („Z odprawy d-rowi A. Czołowskiemu“) pisze p. Górka cokolwiek przesadnie: „Odnośnie d-ra Czołowskiego“ (sic)— „cała jego próba podważenia moich poglądów opiera się na nieautentycznych źródłach i fałszywych cytatach“, bo przecie — aczkolwiek zasadniczo dr. Górka dobrze wychodzi z polemiki z dr. Czołowskim — tak źle z p. Czołowskim jednak nie jest. Przy okazji zaznaczam, że tę właśnie pochopność do przesadnych twierdzeń prof. Górki uważam za skazę jego bardzo cennych prac naukowych. Ma bowiem słuszność dr. Czołowski, występując przeciw tezie dr. Górki: „zdecydowanie niewojowniczy był charakter dawnej szlachty polskiej, stale niemal niedotrzymującej nieprzyjacielowi pola“; za szybkie wyciąga czasem p. Górka wnioski i zbyt przytem ogólne; przeciwko takim

zastrzegłem się właśnie dwakroć na łamach „Naszej Przyszłości“ (w t. XXXV ex 1934 w art. p. t. „Z dziejów myśli politycznej ukraińskiej. (Przyczynek do historji polityki ukraińskiej)“, również w osobnej odbitce, na str. 2 słowami „prof. Ludwika Kubali (najniesłuszniej w świecie — zwłaszcza na punkcie Chmielnicczyzny — podważanego świeżo przez doc. [1]) d-ra Olgierda Górkę) — i w t. XXXVI ex 1934 r. na str. 23, na której zaznaczyłem skłonność p. Górki do przesadnie ujemnego kwalifikowania szlachty polskiej — podkreślając jednak, że „jeśli dr. Olgierd Górka podda rewizji zawrotność cyfr wojsk, przeważających swą niesłychaną liczebnością wojska polskie i skontroluje pod tym względem stare kroniki, to wypadnie mu tylko wyrazić uznanie“. W stosunku do kardynalnego zagadnienia niniejszej mej rozprawki, t. j. do kwestji, po czyjej stronie jest słuszność w polemice świeżej o „Ogniem i Mieczem“, muszę zaznaczyć, że obie strony, t. j. tak p. Górka, jak i liczni jego oponenci stylem i tonem swych artykułów wywołać mogą wrażenie, że jako solidni walczą z niesolidnością i że ponadto każda ze stron, prowadzących tę polemikę, zna bardzo dobrze omawiane dzieje. Jak wynika z dokładnego i objektywnego jej roztrząśnięcia, obie strony dopiero uczą się tych dziejów — i nic w tem dziwnego, gdyż w. XVII w historjografji naszej nie jest jeszcze tak zbadany, jak XVI — niewątpliwą jednak zasługą inicjatywy p. Górki jest to, że dzięki niej nauka zrobiła w danym kierunku pewien postęp. Przystępując ponownie do sporu Górka — Czołowski, stwierdzić należy, że dla p. Czołowskiego jest „Diarjusz“ Bohd. Maszkiewicza „pierwszorzędnej źródłowej wartości“, dla p. Górki zaś — przy zbyt ogólnikowem jego ujęciu — „w tym diarjuszu wszystkie daty są pomylone i pokręcone bez względu na to, czy się przyjmuje stary, czy nowy styl kalendarzowy“ (Górka, op. cit. str. 72).

[1]) P. prof. Górka był jeszcze wówczas docentem.

Dr. Czołowski powołał się w swym zacytowanym powyżej artykule na „Akta Jużnoj i Zapadnoj Rosii“, t. III Nr. 84 w sprawie listu ks. Jeremiego z dnia 20 maja 1648 r. do wojewody moskiewskiego Pleszczejewa o grożącym najeździe tatarskiem i interpretuje zawarte tam dane w ten sposób, że tekst uzupełnia swoim dodatkiem słów „od hetmanów“. Brzmi to zatem następująco: „w pogotowiu z swojem wojskiem czeka z niecierpliwością na wiadomości (tu wtręt p. Czołowskiego „od hetmanów“), gdzie ma się ruszyć“. W tej mierze trafnie zaznacza p. Górka, że w „Aktach“ j. w. „ustępu, o oczekiwaniu przez Wiśniowieckiego z niecierpliwością wiadomości od hetmanów, jak chce dr. Czołowski, czy ordynansów hetmańskich, jak zaznacza dr. Tomkiewicz, niema!“ (op. cit. str. 72—3). Fotografję tego dokumentu ogłosił dr. Górka pierwszy w Polsce w „Pionie“ (Nr. 5, str. 7). P. Górka postawił hipotezę, nawiasem mówiąc, nieprzychylnie przyjętą tak przez uczonych polskich, jak i przez naukę ukraińską, o porozumieniu ks. Jeremiego z Chmielnickim. P. Górka uważa, że dzieje się to wskutek polskiego i ukraińskiego „narodolubstwa“, wobec którego jedna strona nie chce Wiśniowieckiego, druga zaś Chmielnickiego przedstawić w konszachtach z przeciwnikiem. Hipotezy swej o porozumieniu dwóch wodzów z dwóch wrogich obozów p. Górka nie udowodnił, uprawdopodobnił ją jednakże poważnie i hipotezy tej wobec dzisiejszego stanu wiedzy o tych sprawach żadną miarą nie należy uważać za wykluczoną. P. Górka (str. 73 op. cit.) bardzo ważkiemi argumentami przeciwstawia się p. Czołowskiemu, który istotnie zgoła niefortunnie powołał się na Weliczkę [1]), którego mała wartość jest notoryjna

---

[1]) Dr. Czołowski próbuje Weliczkę rehabilitować („Kuryer lit.-nauk.“ Dod. do n-ru 50 „I. K. C.“ z 19.II 1934 r.) wbrew decydującemu stanowisku prof. M. Hruszewskiego. Próba to nieszczęśliwa, skoro i sam p. Cz. stwierdza „różne nieścisłości“ przy „drobiazgowych szczegółach“, a chce im wierzyć.

w nauce. Również uznać należy za niewłaściwe stosowanie przez p. Czołowskiego naprzemian nowego i starego stylu kalendarzowego odnośnie do wypraw ks. Jeremiego, stosowanie takie może bowiem tylko zaciemnić obraz i utrudnić rozpoznanie prawdy. Sprawa opuszczenia przez Wiśniowieckiego w dniu 5.X 1648 r. Lwowa nie może żadną miarą korzystnie dlań dać się tłumaczyć — w tej mierze wywody p. Górki (zwł. ze str. 75—6 op. cit.) są bardzo rzeczowe (niemniej i dowcipna jego uwaga o zabawnym pomyśle „naukowym" p. Rawity Gawrońskiego). P. Czołowski broni tu Wiśniowieckiego raczej uczuciowo, niż rzeczowo, sam zaś niemetodycznym swym artykułem istotnie przyczynił się do dezorjentacji.

Z kolei w rozdziale p. t. „Skrzetuskiego (?) z pod Zbaraża rzeczywiste pochodzenie i rola" zaznacza p. Górka, odpowiadając tak na pytanie p. Kaden-Bandrowskiego („Gazeta Polska" warsz. Nr. 339 z 8.XII 1933 r.), jak i p. Tomkiewiczowi („Pion" II Nr. 4), że „studjum tego odcinka naszych dziejów przedstawia się — conajmniej — całkiem nieszczególnie". Nietylko bowiem nauka polska nie zna wielu relacji odnośnych, które już pojawiły się w druku, ale także—powiada p. Górka—„pewnych cennych materjałów rękopiśmiennych do tych zagadnień wogóle przedemną nikt z Polaków nie miał w ręku" (op. cit. str. 80). Zobaczymy zaraz, że nie wszystko to, co p. Górka w nich przeczytał, przestudjował zarazem dokładnie. Powiada np. „Gdyby zaś ktoś był kontrolował zarówno Kubalę, jak ostatnio ks. Frąsia, to przekonałby się, że wszystkie szczegóły przeprawy Skrzetuskiego, które powypisywali na rachunek Skrzetuskiego, figurują w cytowanym rękopisie (Akad. Um. 8 a. f. 32 verso) na rachunek żołnierza kwarcianego, który się nazywa „Stapkowsky" w oryginale i poprawce". O tymże Stapkowskim pisze potem p. Górka (na str. 87): „Wymieniony natomiast w djarjuszu zbaraskim pod datą 11.VIII 1649 Stapkowski, czy Stąpkowski (Michał.

Ks. Pam. 461; ks. Frąś 61) i jego dwaj Tatarzy, według wszelkich danych, nigdy nie wyszli i są odgłosem pierwszej wyprawy i t. p. Skrzetuskiego — Stapkowskiego i jego towarzyszy, względnie tego żołnierza niemieckiego". Otóż jest to grube nieporozumienie. Jak to wykazał Dr. Zygmunt Lasocki w n-rze 185 ex 1934 „Kurjera Warszawskiego" (niesłusznie zresztą twierdząc u wstępu swego artykułu, iż broszura en question d-ra Górki „roi się od błędów historycznych"), ów Stapkowski, o którym nie brak bynajmniej danych źródłowych, przeprawił się właśnie szczęśliwie przez wojska nieprzyjacielskie, acz z trudem, do obozu królewskiego z odpowiednią relacją i został też sowicie nagrodzony. (Rękopis, Akad. Umiejętn. Nr. 9 f. 364 v., Diarjusz oblężenia Zbaraża; Diarius Expeditiey Zborowskiey, Rękop. Akad. Umiejętn. Nr. 8 a. f. 32 v. i nast.; w „Annalium Poloniae... Climacter Primus" str. 136—7 nazwano go „Stapkovius", a na marginesie „Stapkowski". W przytoczonym przez p. Lasockiego przekładzie p. t. „Historja panowania Jana Kazimierza z Klimakterów W. Kochowskiego", Poznań 1859, nazwano Stapkowskiego błędnie „Stępkowskim"; Pastorius J., Hist. Polon. str. 67 — tylko tam właśnie wymieniono obu wysłańców, Skrzetuskiego i Stapkowskiego, gdyż inne źródła współczesne wymieniają — jak to p. Lasocki zaznaczył — to jednego, to drugiego; Rękop. Akad. Umiejętn. Nr. 1275; wreszcie Oblata przywileju królewskiego w Relat. castr. Leopol. ks. 401 p. 644—8 i przywileju na młyn Krzywoleski ibid. p. 648—51).

Tu się zatem p. Górka nie popisał [1]). Mógł, z przyczyny swych poważnych objekcji, jakie wyłuszcza na str. 80—8 o. c., zakwestjonować (ale też chyba tylko zakwe-

---

[1]) Pocóż pisał przytem na str. 84 o. c. „szkody wojskowe, jakie wyrządził akcji wojsk pol. ów Skrzewski, Skrzetuski, czy Stapkowski, swemi fałszywemi relacjami o siłach Tatarów", gdy jego zdaniem nie był to Stapkowski?

stjonować) polskość Skrzetuskiego z pod Zbaraża, ale zagalopował się, twierdząc, że trudno przypuścić (a więc dosłownie: „nie przypuszczam“, str. 81 o. c.), „by jakiś historyk (jak twierdzą niektóre dzienniki), choćby trochę zorjentowany w źródłach i literaturze tej sprawy, mógł tego Skrzetuskiego z pod Zbaraża uważać za Polaka, towarzysza husarskiego, herbu Jastrzębiec“; raz dlatego, że są tacy historycy (a więc w szczególności, według cytowanego już sprawozdania dr. Krzemickiej, prof. Stanisław Zakrzewski), a powtóre, że prawdopodobieństwo przecie jest! Np. Stapkowski wyruszył i przedostał się tam, gdzie należało, choć o tem pochopny do zbyt skorych twierdzeń p. Górka nie chce wiedzieć. To trudno, w nauce — nawet w najkardynalniejszych jej zagadnieniach dużo jest wątpliwości, nie trzeba więc się zapalać, by koniecznie zawsze coś stwierdzić, czy czemuś zaprzeczyć — wystarczy wszak objektywnie przedstawić osiągnięty wynik oraz wszystkie pro i contra nasuwających się hipotez. Zgoda nato, iż p. Górka p. T. Skrzetuskiemu, odpowiadając na jego artykuł polemiczny („Pion“ II Nr. 5), odpowiedział bardziej uczenie (w szczególności na str. 81) — zgoda też na to, że tradycja wśród chłopów pod Zbarażem urasta — ale wątpliwości p. Górka nie usunął. Interesujący jest p. Górka istotnie w starciu swem polemicznem z doc. dr. Władysł. Tomkiewiczem, autorem stanowczo nadmiernie korzystnej dla omawianego pracy o ks. Jeremim Wiśniowieckim, którą nazwał jego imieniem i nazwiskiem (z datami 1612—51), a wydał w Warszawie w r. 1933. Nawiązanie p. Górki do dyskusji z r. 1884 jest trafne (o. c. str. 92). Nie można jednak powiedzieć, że „z n a j o m o ś ć t y c h c z a s ó w... c o f n ę ł a s i ę p o p r o s t u w n a u c e p o l s k i e j — w s t e c z“ (i to nietylko dlatego, że np. niemożna „iść naprzód wstecz“, ale i z tej prostej przyczyny, że dziś jednak — m. in. dzięki prof. Górce — wie się więcej , niż wtedy). Przesadnie o W. Lipińskim mówi p. Gór-

ka, że „Nikt w Polsce w całości jego książki nie przeczytał, skoro nikt przedemną do materjałów Lipińskiego nie dotarł, a w rezultacie zajmuje się on raczej wszystkiemi innymi kwestjami (sic!), niż tymi, które ja poruszyłem“ (op. cit., str. 92). Owszem — wielu odrazu poznało, że p. Górka sporo powtórzył za W. Lipińskim („Z dziejów Ukrainy“, 1912). Zauważył — że znowu sięgnę do sprawozdania Dr. Krzemickiej — prof. S. Zakrzewski, doc. Tomkiewicz i in. Coprawda wspomina p. Górka o zacytowanych przez pp. Doroszenkę i Kordubę w niemieckich czasopismach naukowych publikacjach historycznych ukraińskich, ale sam nie cytuje ich bliżej, i nie daje dowodu ich znajomości. Podkreślając zasadniczość swego rewizjonizmu, stwierdza, że na terenie oceny i „zwalczania cyfr astronomicznych, jak „chamów“ [1]) był p r a w i e bez poprzedników“ (podkreślenie moje: prawie — bo był poprzednik, p. Bujak!) — co uczynił p. Górka na 95 str. swej pracy — przechodzi do kwestji walorów ks. Wiśniowieckiego: stwierdza za ks. nuncjuszem Torresem, że smutnej pamięci Hieronim Radziejowski był przyjacielem ks. Jeremiego („suus amicus“) i podaje znane już, a dające wiele do myślenia wiadomości (Zapysky Nauk. Towar. im. Szewczenka, t. 144, str. 215, A. J. Z. R. t. VIII, str. 316 — przyczem i z Kubali wiadomo, że ton ks. Jeremiego wobec Chmielnickiego był inny, niż w „Ogniem i Mieczem“ Sienkiewicza), z których istotnie p. Górka najdalej idące, a wcale możliwe wysnuł konsekwencje. Z tego jednak nie wynika, by ks. Jeremi miał być „groźnym napastnikiem, jak zdecydowanym tchórzem wobec poważnego niebezpieczeństwa“ („Pion“ I, Nr. 11). Z tego stanowiska — które zresztą p. Górka próbuje udokumentować — lekko się wycofuje uwagą: „K w e s t j a o d w a g i o s o b i s t e j m u s i b y ć, w b r e w całej opinji historycznej, c o-

[1]) Idzie tu o zawrotne cyfry wojsk wrogich w źródłach polskich i o udział chłopów i mieszczan polskich w wojnie.

najmniej pod znakiem zapytania" (o. c. str. 100).

Z kolei pisze p. Górka w broszurze swej o „Ogniem i Mieczem" — „O grzechach głównych wobec naszej historjografji w. XVII — w odpowiedzi gen. M. Kukielowi i prof. Wł. Konopczyńskiemu" (o. c., str. 107 i nast.) Ta część jego pracy jest bardzo potrzebna, obaj profesorowie bowiem pisali trochę z humorem, a trochę z tupetem, a ścisłość naukowa dość na tem ucierpiała — odpowiedź p. Górki przyczyniła się więc tym razem istotnie, „ut lux veritatis clarius effulgeat" — wedle tekstu promocji. Doc. gen. M. Kukiel w „Kurjerze Warszawskim" (z 14.II 1934 r.) zwrócił m. in. uwagę dr. Górki na książki, z których korzystał Sienkiewicz dla opracowania „Trylogji". Słusznie na to ripostuje p. Górka, że z zacytowanej przezeń pracy p. J. Kijasa („Pion" II Nr. 1) „bez trudu byłby gen. Kukiel powiększył niemal trzykrotnie zakres książek, które wskazał jako źródła Sienkiewicza". Stanowisko p. Górki w sprawie postępku J. Wiśniowieckiego względem Lwowa (o. c., str. 108) jest o wiele słuszniejsze od żartobliwych tym razem uwag gen. Kukiela. Taksamo w sprawach dystansowych (o. c., str. 109—10) p. Górka okazał się ściślejszym. Przekonywa też jego uwaga w sprawie nieudzielenia przez ks. Jeremiego pomocy hetmanom pod Korsuniem—„nawet mocno spóźnione własne tłumaczenia się Wiśniowieckiego brakiem promów (Zbiór Pam. V, str. 69) odnoszą się najwyraźniej do czasów po bitwie korsuńskiej („po zniesieniu wojska koronnego potopiono promy"), wysuwanie więc takich argumentów w tej dyskusji dla okresu przed Korsuniem polega tylko na pomijaniu wymowy źródeł" (o. c., str. 110). Nie można zato przyznać p. Górce słuszności, gdy, nazwawszy pełen polotu opis zmagań zbaraskich przez Kubalę „przecudną nowelką", przypisał jego fantazji obraz, znany z Oświęcima (djarjusza), o którym to błędzie pouczyli p. Górkę jego oponenci. Słusznie nato-

miast koryguje on p. Kukiela na punkcie nazwania przez tegoż ks. Jeremiego „faktycznym dowódcą“ w potrzebie zbaraskiej, co p. gen. Kukiel częściowo uznał w następnym artykule swym w „Kurjerze Warszawskim“ p. t. „Zagony poprzez historję i „kwadrans artyleryjski“ (wyraził się tam p. Kukiel: „Może istotnie moja interpretacja źródeł poszła tu zbyt daleko i należało powiedzić tylko, że był duszą obrony“ [1]). Rewizjonizm p. Górki w tym przedmiocie, jak i w sprawie „cyfr astronomicznych“ (o. c., str. 114—7), jest naukowo uzasadniony, to też niewątpliwie nietylko okruchy jego „rewelacyj“ zdołają się utrzymać! I sprawy te są istotnie „naukowo pilne“ (por. dr. Górki o. c., str. 120). Artykuły swe w tej mierze pisał p. Górka „w walce o prawdę i przebudowę myśli“ (z dedykacji autora piszącemu te słowa), a że tam w tem i owem, jak wyżej i niżej, pobłądził, to rzecz ludzka, i, jak wyznaje prof. Władysł. Konopczyński w swym „Fotomontażu krytycznym“ („Kurjer Warszawski“ Nr. 93 ex 1934, str. 2) — „zwykły to los wszystkich naszych mozołów“. W polemice z prof. Konopczyńskim (por. jego artykuł w warsz. „A. B. C.“, 1934, Nr. 1, potem zaś „Fotomontaż historyczny“ z pijacką uwagą Zagłoby jako mottem, „Kurj. Warsz.“ Nr. 52 ex 22.III 1934 i j. w. — oraz o. c. Górki, str. 122—4—wraz z dowcipnem „Vous avez voulu George Dandin“) był p. Górka szczęśliwy.

Prof. Konopczyński przyznał się w swym „Fotomontażu krytycznym“ (j. w.) do błędu swego „Fotomontażu historycznego“ (j. w.) i innych. Twierdzi jednak przesadnie, że „porzuconą (przezeń) chorągiewkę zdobył p. Górka, i na tem polega jego niewątpliwy polemiczny sukces“. Czy p. Górka nie widział tego sam? Musiał p. Konopczyński cho-

---

[1]) Świeżo znalazł p. dr. Michał Marczak w księgozbiorze dzikowskim hr. Tarnowskich, parę utworów Zbarażczyków ówczesnych, sławiących w swych rękopisach wielkie zasługi ks. Wiśniowieckiego pod Zbarażem.

rągiewkę swą aż sam porzucać? Trochę więcej objektywizmu! Artykuły p. Górki, omawiane niniejszem, należy brać pod niejednym względem cum grano salis — ale grubą przesadą byłoby twierdzić, jak prof. Konopczyński (w „Fotomontażu historycznym"): „Od spiżowej postaci księcia Jeremiego odbiły się, jak dotąd, wszystkie pociski napastnika. Jeżeli, który z nich w starciu z kontrargumentami A. Czołowskiego i Wł. Tomkiewicza eksplodował, to chyba... salwą wesołości wśród czytelników". Jak już zaznaczono, z polemiki z p. Czołowskim p. Górka wyszedł dobrze, p. doc. Tomkiewicz zaś, piszący, nawiasem mówiąc, bardzo poważnie i rzeczowo, starając się o poznanie słuszności i pełen szlachetnych usiłowań, nawet tam, gdzie niecałkiem ma rację, — nigdy nie doprowadził do wybuchów wesołości na temat tez p. Górki. W sprawach poszczególnych cyfr może się p. Górka też mylić czasem, ale jego zasady rewizjonizmu naszych obliczeń historyczno-wojskowych chyba się przyjmą w nauce. P. Konopczyński zaznaczył zresztą w swym „Fotomontażu krytycznym" (por. j. w.), iż „Pozostaje, mimo wszystko, nadzieja, że dr. Górka, o ile przezwycięży „iram et studium", ulepszy naszą znajomość tych kilku lat, nad któremi pracuje". Co zaś się tyczy tonu p. Górki wobec historjografji naszej, niewątpliwie poważnej i zasłużonej, pomimo jej braków, nad których sanacją przecież się dzielnie pracuje, to istotnie, nie jest on skromny. Ale trudnoby też nazwać skromnemi cytowane powyżej głosy historyków, będących jego oponentami.

Z kolei ogłosił p. Górka w „Pionie" (Nr. 22 z 2.VI 1934 r., str. 7—8) „Podzwonne dyskusji". Zaczął ów artykuł od zacytowania Schopenhauera „Sztuki prowadzenia sporów" (tłum. Lorentowicza 1893 r.), a mianowicie o 33 rodzajach „wybiegów" dla zwalczania oczywistych prawd. (W tej mierze wartoby porównać teorję prof. d-ra Zygm. Cybichowskiego o rodzajach metod recenzji naukowych).

P. Górka twierdzi, że Schopenhauer nie przewidział systemu, jakim się jego zwalcza, a mianowicie, jak pisze, „stwierdzenia przez polemistów w mojem imieniu, drukiem i w poczytnej prasie, czegoś zupełnie, wręcz diametralnie przeciwnego temu, co drukiem wypowiedziałem, by następnie — jak się sam we wstępie do książki wyraziłem, — takie zmyślone twierdzenia „z oczywistem powodzeniem w swoich artykułach druzgocąco obalać“, a to à propos rzekomego pacyfizmu p. Górki [1]). Porusza p. Górka wybieg (u Schopenhauera Nr. 1) t. zw. „rozszerzenia dyskusji“ przez „obronę“ Sienkiewicza, poczem zaznacza, że owo „podzwonne“ napisał niezależnie od dyskusji o całokształcie spraw naszej historjografji tych czasów, jaka rozegrała się na łamach „Gazety Polskiej“ wskutek odpowiedzi p. Górki na odnośne artykuły gen. M. Kukiela i prof. Wł. Konopczyńskiego w „Kurjerze Warszawskim“. Z tytułu obszerności wywodów pierwsze miejsce w polemice wyznacza p. Górka p. magistrowi Eugenjuszowi Lataczowi, autorowi uwag p. t. „Rewizjonizm d-ra O. Górki a rzeczywistość historyczna“ („Kuryer lit.-nauk.“ Dod. do Nr. 78 „I. K. C.“ z dn. 19.III 1934 Nr. 12, str. VIII — IX i z dn. 26.III 1934 r. Nr. 13, str. V — VI). P. Górka twierdzi, że go już nudzi stałe raczenie go „krzywem zwierciadłem“, „rzeczywistością historyczną“, „odwracaniem obrazu“, „rewizjonizmem“, „ostremi nabojami“ etc. W dyskusji idzie p. Górka „skokami bojowemi“, bo za mało ma miejsca w „Pionie“ (a przytem może to i wygodniej). Cytuje swe „Ogniem i Mieczem a rzeczywistość...“ (str. 28), „Gdy wreszcie pod Beresteczkiem nakłania (t. j. Wiśniowiecki) pospolite ruszenie do dalszego marszu na Ukrainę, wpływ

---

[1]) Por. np. warsz. „Ster“ Nr. 1 ex. VI 1934 r. „Panopticum cywilizacji“ R. J. „Zdarzenia, ich ludzie i wymowa. Generał-poeta kropi i krzepi“, str. 30: „Promotorem pogwaru był dr. Górka wysuwający pod adresem autora „Trylogii“ szereg zarzutów natury historyczno-rektyfikatorskiej z lekkim odcieniem antybellicystycznym... swąd sztubacko-mdłego pacyfizmu“.

jego zawodzi całkowicie, co zresztą należy tłumaczyć rozwiązaniem długo skutecznej jego spółki z Hieronimem Radziejowskim“ i zestawia je z uwagą p. Latacza: „a teraz słów parę co do twierdzenia D-ra Górki, jakoby Wiśniowiecki, będąc w zmowie z Radziejowskim, sprawił, że pospolite ruszenie odmówiło swego udziału w dalszym pochodzie na Ukrainę“ („I. K. C.“ Nr. 97 dod. str. VII) „Pocieszném zaś jest zaiste przytem“ — pisze p. Górka w swem „Podzwonnem“ — „że p. mr. Latacz właśnie przy tym ustępie i za te swoje wywody nazywa sam siebie „poważną krytyką naukową“ (Nr. 97, str. VII). Dalej pisze p. Górka, że „a) chce oddawna i koniecznie zrobić jakieś ustępstwo swoim oponentom, b) dać krótką lekcję metodologiczną p. mr. Lataczowi et cons.“ Poniżej będę musiał wziąć p. Latacza cokolwiek w obronę przed p. Górką, który zresztą przyznaje, że p. Latacz miał rację, wykazując (Nr. 85 „I. K. C.“, str. VI), że brak zbroi i wyciągnięta szabla Wiśniowieckiego pod Beresteczkiem nie są przez Kubalę wzięte z fantazji, jak to mylnie przedtem podawał p. Górka. Pisze on: „byłem zdecydowany w razie sprezentowania mi dowodów robić koncesje oponentom i wraz z nimi dochodzić do obrazu rzeczywistości lat 1648—51. Jak dotychczas jednak musiałem ustąpić tylko przez potwierdzenie dwóch widocznych błędów drukarskich; teraz dodaję tę wyciągniętą z pochwy szablę Wiśniowieckiego.. .ale pozatem, — ...żadnych dalszych powodów do ustępstw,...— znaleźć nie mogę“. Sprawę konfederacji wojskowej w Lublinie znał wszak p. Górka z ks. Frąsia „Obrony Zbaraża“ (str. 70) [1]) i doc. Tomkiewicza („Jeremi Wiśniowiecki“ str. 346), konkluduje przeto: „Sofistyka czy dialektyka erystyczna“ (Schopenhauer) może znaleźć luki, by grzmieć wobec niezorjentowanych czytelników pozornem,

---

[1]) Świeżo odezwał się znowu ks. Frąś o obronie Zbaraża, a to w krak. „Przeglądzie Powszechnym“, t. 203 ex 1934 r. Nr. 607—8, str. 85 i nast., p. t. „Ogniem i Mieczem“ w świetle prawdy historycznej“.

a krzykliwem „hallali". P. Górka poucza p. Latacza, posługującego się materjałem jednostronnym i ułamkowym (mianowicie kronikarstwem polskiem), że sam w swej „Rzeczywistości" nie korzysta z tego materjału, jako z materjału drugiej klasy, nawet tam, gdzie mógłby nim poprzeć swe tezy, jak np. bądźcobądź cenniejszym Rudawskim w sprawie oczekiwania Wiśniowieckiego przez hetmanów pod Korsuniem. P. Górka preferuje znacznie „wagę gatunkową relacji bezpośrednich i dla celów praktycznych, a więc w tej, czy innej formie materjału dyplomatycznego, od opracowań historjograficznych, z których można korzystać dopiero po ustaleniu tendencji, stopnia prawdomówności" i t. d. Kronikom polskim XVII w. odmawia „cech objektywności". Ale czy sam nie za mało uwzględnia ewentualność pomyłki w sprawie np. pochodzenia Krzywonosa (który mógł być określony jako Szkot nie z pochodzenia — przecie np. „urodzony żołnierz" nie określa pochodzenia żołnierskiego — przytem wiadomość, podana przez W. Lipińskiego o Krzywonosie, może nie być ścisłą) lub wyznania Skrzetuskiego? Zaznaczyłem, że prof. Konopczyński przesadnie sądzi, iż p. Górka po nim podjął porzuconą chorągiew; ale czy p. Górka nie zawiele przesądza, pisząc, że to odeń wie p. Latacz, iż Kubala był samoukiem? Co do cyfr, to słusznie stwierdza p. Górka swą zasługę w ich rewizjoniźmie. Radzi p. Lataczowi (który zresztą ujawnia przygotowanie naukowe), głębiej postudjować Bernheima „Lehrbuch der historischen Methode" i prof. Handelsmana „Historykę" i — zamiast popisywać się popularnym cytatem z tekstu Kunakowa, „zapoznać się choć trochę z literaturą ukraińską i wogóle z książkami, drukowanemi alfabetem niełacińskim (?), by się nie powtórzył wypadek z ks. Frąsiem, który tym brakiem zepsuł swój poważny wysiłek w pracy p. t. „Obrona Zbaraża". — Co do bitwy beresteckiej, to stwierdza p. Górka, że „lewem skrzydłem dowodził... Kalinowski, a nie Wiśniowiecki", a atak

Wiśniowieckiego... nie udał się... P. Latacz, popełniwszy cały opus polemiczne (sic!) o Beresteczku, nie chciał zauważyć i zająć się rzeczą najistotniejszą (sic!), t. j., że król Jan Kazimierz wskazał nieposłuszeństwo Wiśniowieckiego pod Beresteczkiem, jako powód swego odjazdu od wojsk w czasie dalszego marszu na Ukrainę (por. moje o. c. str. 26)".—O osobnej pracy p. Lasockiego pisze p. Górka, że ją „chciałby omówić z możliwą życzliwością" (Nota bene, gdy kto tak pisze, to przeważnie—podświadomie, lub nie—chce tylko wywołać jej wrażenie; wszak istotnie życzliwy właśnie nie podkreśla swej życzliwości, natomiast—w miarę wymogów rzeczowości, czy też nawet poza nimi — uwzględnia wszelkie możliwe plusy omawianego), „ponieważ są to wysiłki niehistoryka [1]), p. Zygm. Lasockiego... p. t. „Ogniem i Mieczem" w świetle rewelacyj D-ra Górki" (Kraków 1934 r.). Przyznaje mu „w większości wypadków miłą zasadę cytowania lojalnie tych tez przeciwnika, które stara się obalić, ale to z jednym charakterystycznym wyjątkiem, a mianowicie, gdy biada nad moją nieznajomością „ustroju wojska polskiego w XVII w." (o. c. str. 11, co nazywa p. Górka „wolnemi, a zarazem kiepskiemi żartami"). „Faktem natomiast jest, że p. Lasocki nie zrozumiał, o co chodzi, a mianowicie, dlaczego zająłem się przynależnością tego Skrzewskiego, czy Skrzetuskiego z pod Zbaraża do chorągwi kozackiej, a zwracałem uwagę, że nie był usarzem... Ponieważ ten Skrzewski, czy Skrzetuski był towarzyszem chorągwi kozackiej, rekrutowanej na Ukrainie, siłą rzeczy możliwem jest domniemanie, zgodne z relacją Torresa, że był schyzmatykiem" (aha, a więc „domniemanie" — nareszcie objektywniej) — „cała opozycja na ten

---

[1]) Heraldyka jest nauką pomocniczą historji, a dr. Lasocki jest wybitnym i krytycznym heraldykiem i genealogiem, który dokonał wielu kapitalnych odkryć i ustaleń. Coprawda, krytycyzm p. Lasockiego idzie czasem za daleko (np. w sprawie dawnych akt, dotyczących rodziny Meysztowiczów).

temat jest wogóle niepoważna“ (powiedziałbym: raczej pożyteczna!!). Pochodzenie i rola Skrzetuskiego z pod Zbaraża znana jest z tekstu, ogłoszonego przez prof. Bronisława Gubrynowicza (zob. niżej), z pracy ks. Frąsia („Obrona Zbaraża“ 60), z pracy d-ra Tomkiewicza („Jeremi Wiśniowiecki“ 326), wyraźnie określonego Skrzetuskiego, jako „schizmatyka“, który „podał się za uciekiniera“; głosy ukraińskie pomijam. Nie moja już jest wina czy zasługa, że szeroki ogół czytających na tamte wcześniejsze publikacje nie zwrócił uwagi, „komicznem zaś jest wprost, że pp. polemiści dyskutują tę sprawę ze mną, a nie z tymi (np. dr. Tomkiewiczem), którzy ją w c z e ś n i e j t a k s a m o u j ę l i“. Niecałkiem szczęśliwie wyraża się z kolei p. Górka: „Wesołkowate... wrażenie robią na mnie te próby pseudo-historyczne, czy pseudo-naukowe obrony tej, niezawinionej przez Sienkiewicza, pomyłki“. „P. Lasocki, wobec cytowania przezemnie dla przejrzystości Zereła (sic) Ukrainy-Rusy, objaśnia, że moja informacja (t. j. relacja nuncjusza!) „pochodzi ze źródeł ukraińskich“ („Ogniem i Mieczem“ w świetle rewelacji, str. 10), „zarzuca mi niekontrolowanie druku z rękopisem, a co więcej, wykazuje mi groźnie i uczenie, że w tej relacji o Skrzetuskim Chmielnicki figuruje jako — „Chimiliński“, a nie „Chmilnicki“, jak pisze dr. Górka, jak zwykle nieścisły w cytowaniu źródeł“ (o. c. str. 10)“, — a tymczasem — „odnośny tekst relacji nuncjusza o Skrzetuskim był dostarczony przez naszą misję naukową w Rzymie i jako taki był ogłoszony przez prof. Bron. Gubrynowicza w „Ruchu literackim“ (r. 1927 W-wa, nr. 8, str. 237). W tym to, kolacjonowanym tekście jest „Chimilnicki“, tak, jak czytać należy i można, a tylko znowu Szkrzetunowski jest poprawiony na Skrzetuskiego“. Cokolwiek złośliwie radzi p. Górka p. Lasockiemu studjować bibljografję Finkla, Estreichera, Korbuta, „Kwartalnik Historyczny“ i t. d. Pisze: „Z. Lasocki (str. 4) uczy mnie, że „Księga Pamiętnicza“ Michałowskiego jest

pełna błędów. Stoi to, jak byk, w moich artykułach w wyrażeniu w „wydaniu bardzo niedokładnem" (str. 80). Uczy mnie również p. Lasocki (str. 5) i gromi, dlaczego nie wiem, że Szujski cenił Wiśniowieckiego jako wodza, chociaż ponownie stoi, jak byk, u mnie wydrukowane zaraz na początku (str. 6), że Szujski „przeceniał" Wiśniowieckiego „pod względem wojskowym". Podobnie objaśnia mnie p. Lasocki, że Szujski lepiej wiedział od Kubali, kto był wodzem Zbaraża, chociaż ja to właśnie stwierdziłem (str. 96), że pod tym względem nasza historjografja poszła wstecz".

Dowcipnie wyraził się p. Górka o opinji gen. Wieniawy Długoszowskiego (z warsz. „Polski Zbrojnej" Nr. 17 Tyg. Lit.-Nauk. 22.IV 1934), który, zabierając głos w obecnie toczącej się dyskusji na te tematy, nie pozwolił sobie „zaćmić sądu" znajomością artykułów" p. Górki [1]). Przyznając p. Lasockiemu trafne zacytowanie „Zbiorów Michałowskiego" (zob. „Diarius Expeditiey Zborowskiego"), przypuszcza p. Górka (ale może bezpodstawnie), że to on naprowadził p. Lasockiego na trop właściwy. Uważa jednak nasz rewizjonista zapamiętały, „że odnośna partja Michałowskiego to fabrykat jego"; tylko raz jeździł Lanckoroński w sprawie przyłączenia wojsk Wiśniowieckiego do regimentarzy, którzy wogóle nigdy nikomu nie zamierzali władzy nad wojskiem odstępywać. Choć odsyła tu p. Górka do „całości odnośnej korespondencji", szkoda, że nie cytuje odnośnych partji dokładniej („Podzwonne", str. 8).

Wreszcie p. Górka podkreśla powtarzanie przez p. M. S. Kuczyńskiego przestarzałych danych p. t. „Ks. Jeremi" i „Ks. Jeremi wobec zarzutów" („Kurjer Warsz." Nr. 106 z 19.IV.34 i Nr. 109 z 24.IV.34); p. Kuczyński, który wogóle nie wniósł nowych i cennych elementów do dyskusji

---

[1]) Słynne (acz nieprzekonywujące) „kogo" (sc. „obchodzi") jen. W. D.

en question, pomieszał sprawę 10.000 zł. na wykup hetmana polnego Kalinowskiego ze sprawą wielk. hetmana koronnego Potockiego (por. Tomkiewicz o. c. s. 350). P. Górka zaznacza, że „Wiśniowieckiemu, z najbardziej wysuniętego miejsca postoju w swym pochodzie, do Perekopu, do którego miał rzekomo w r. 1647 z dwudziestokilkotysięczną armją dotrzeć, jak chce dr. Tomkiewicz („Jeremi Wiśn.“ 78) i p. Kuczyński („Kurj. Warsz.“ Nr. 109, str. 5), brakował dystans niemal jak Warszawa — Kraków“. (Tu cytuje dr. Górka obszerną recenzję prof. M. Korduby o pracy d-ra Tomkiewicza p. t. „Jeremias Wiśniowiecki im Lichte der neuen Forschung“, Ztschft f. Osteur. Gesch. T. VII. H. 2, s. 221—38). Dr. Górka doczekał się też — o czem w „Podzwonnem“ wspomina — ataku ze strony młodzieży gimnazjalnej i zmartwiony jest poparciem, którego jej w tej mierze symptomatycznie udziela społeczeństwo starsze. Podkreśla też dalej p. Górka „metodę drugo-planową“ swych polemistów, t. j. ustalanie dawnej glorji Wiśniowieckiego dla potrzeb szowinizmu wobec narodu drugiego. Zastrzega się przeciw zestawianiu Wiśniowieckiego z Chodkiewiczem, Żółkiewskim i Kościuszką, zestawia go raczej (idąc, mem zdaniem, stanowczo zadaleko) z hetm. Branickim, przyczem charakteryzuje ogół szowinistów zbyt ryczałtem, mówiąc: „zawsze byli w Polsce i najszerszą mieli gębę w sejmie, a najsłabszą szablę w bitwie“. Twierdzi, że Jarema będzie ożywać w tym sensie, jak Joanna Papieżyca, „nietylko chociaż jej nie było, ale właśnie dlatego, że jej nie było“ („Podzwonne“, str. 8).

W artykułach p. Górki p. t. „Konkluzje“ zawarł on treść swych intencji. „Tam przez krytykę „Ogniem i Mieczem“ doszedł do celu konstruktywnego, stwierdzając, że uczyć się i myśleć historycznie należy według „Potopu“, a nie według „Ogniem i Mieczem“, a u Sienkiewicza „czcić jego zmysł odpowiedzialności wobec drukowanego przez

siebie słowa“ (str. 8); dodałbym tu zastrzeżenie, że — niezawsze.

Na zakończenie komunikuje p. Górka, że „z prawdziwą, a niespodziewaną satysfakcją przeczytał szczere i śmiałe słowa „Merkuryusza Polskiego“ (W-wa, 8.V.34), spowodowane swą książką“ (s. 8). Kończąc cytatą z Terencjana Maura, życzy „lekkich półek bibljotecznych“ rocznikom „I. K. C.“, „Kurjera Warsz.“, „A. B. C.“, które nieraz muszą „zarumienić się ze wstydu, stając w jednym rzędzie w godnem gronie „Prawdy“, „Kraju“, „Biblj. Warsz.“ i t. d.“. Spokojnym się powiada p. Górka o wartość swego dorobku (str. 8).

Zreasumujmyż, o ile ma do tego podstawę: 1) utrzymała się teza p. Górki, iż wpływ Sienkiewicza na polskie odczuwanie przeszłości jest silniejszy, niż polskie odczuwanie nauki (polemika posła Ant. Pączka z wywodami p. Górki, ogłoszona w warsz. „Przełomie“ Nr. 1 ex 1934 r., pełna wyrazu i talentu, walczy przeważnie z niewypowiedzianemi tezami p. Górki, w obawie o polski moralny stan posiadania; aktualność „Ogniem i Mieczem“ dla młodzieży ukraińskiej kwestjonowali różni, m. in. p. A. Grzymała-Siedlecki w „Kurj. Warsz.“ i p. P. Krzowski w warsz. „Biulet. pol.-ukr.“, nie zauważyli jednak obaj, że Ukraińców najbardziej ranić może rozpaczne wołanie Bohuna „żeby ja był Lach!“; — piszący te słowa, który „Ogniem i Mieczem“ czytał z młodzieżą polską i ukraińską w gimn. państw. w Sokalu w latach 1925—8 może stwierdzić, iż lektura ta wraz z odpowiednim komentarzem historyczno-literackim (oczywiście więc objektywnym) daje wynik zupełnie dodatni); 2) obraz historyczny w „Ogniem i Mieczem“ nie jest wprawdzie całkowicie odwrócony, ale mocno odbiega od prawdy dziejowej i w tem p. Górka ma rację; 3) w sprawie źródeł miał p. Górka rękę szczęśliwszą, niż p. Czołowski; 4) w sprawie potrzeby rewizji „cyfr astronomicznych“ w historji wojen polskich ma p. Górka po-

wszechnie dziś stwierdzoną słuszność; 5) aczkolwiek jest ów nowy rewizjonista polski uczonym miary b. poważnej, nie opanował jeszcze całkowicie opracowanego materjału (jak to m. in. wykazał p. Latacz) i pisze o swych wynikach z pewną przesadą, podobnie zresztą, jak i większość poważnych nawet jego oponentów; 6) hipoteza p. Górki o porozumieniu ks. Wiśniowieckiego z Chmielnickim jest wysoce prawdopodobna [1]); 7) natomiast zbyt wytrwale stoi p. Górka na zajętem raz wobec Skrzetuskiego stanowisku, którego należycie nie udowodnił, a co do Stapkowskiego, to się wręcz omylił; nie jest też dotąd pewna kwestja Krzywonosa; 8) ostrym swym krytykom (a w szczególności pp. Lasockiemu i Lataczowi) częstokroć p. Górka odpowiadał za ostro. Inna rzecz, że, stosując kryterja medjewisty, był bardziej od tego ostatniego kompetentny; 9) zarzuty nadmiernego pacyfizmu i rozmiękczania społeczeństwa postawiono prof. Górce stanowczo niesłusznie; 10) trafnym jest zarzut p. Górki, iż polska historjografja współczesna za mało zna ukraińską; dokładnej swej jednak jej znajomości dotąd nie udowodnił sam p. Górka; 11) p. Górka często się zagalopowywał w omawianej powyżej polemice; wielu jednak jego przeciwników walczyło z nim wyraźnie niesolidnie, tak, iż ostoi się sporo odnośnych jego zarzutów w „Podzwonnem"; 12) jeśli zatem ocenimy całą doniosłość rewizjonistyczno-rewelacyjnych wystąpień prof. Olgierda Górki w sprawie rzeczywistości historycznej w „Ogniem i Mieczem", to stwierdzić nam wypadnie ponad wszelką wątpliwość, iż, jak to zaznaczyłem na wstępie, choć pracę swą en question pisał p. Górka cum ira, a i nieraz cum studio, dał w niej „cenne wzbogacenie nauki" i „wywołał całą burzę, również dla nauki cenną". W związku z tem oczeki-

---

[1]) Podobnie rzecz ma się i z opuszczeniem Lwowa przez ks. Jeremiego (por. j. w.), a ponieważ to sprawa jaśniejsza, więc i przykrzejsza.

wać należy, iż, jak to przyznał jego niezwyciężski oponent— dr. Górka „ulepszy naszą znajomość tych kilku lat, nad którymi pracuje“ (por. j. w.). A bardzo tego potrzeba, boć ważkie to lata: znaczeniem swem dziejowem — i niemniej ważkiemi wskazaniami, które zostawiły nam na naszą przyszłość...

Jerzy Pogonowski

SPRZECZNOŚCI CHWILI BIEŻĄCEJ.

Otrzymaliśmy pod powyższym tytułem artykuł od jednego z naszych bardzo poważnych sympatyków z poza Warszawy, artykuł tak charakterystyczny i sięgający głęboko w aktualne krajowe stosunki, że uważaliśmy za wskazane zamieścić go tu w ostatniej chwili, po ukończonym już druku całego niniejszego tomu. Uwagi, w tej rozprawie zawarte, przydadzą się niewątpliwie tym zwłaszcza, którzy, owiani szlachetnym zapałem, rwą się naprzód w pracy społecznej, aby coś użytecznego zdziałać na jakiemkolwiek polu dla kraju i rodaków.

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że nasz stan ziemiański — jako warstwa właścicieli większych obszarów rolnych — chylić się zaczyna do upadku. Składają się na to różne przyczyny, aż nadto dobrze znane, aby je tu po raz tysiączny wyszczególniać i argumentować. Dość, że świat większej, a w znacznym stopniu i średniej własności ziemskiej, ogółem biorąc, wykazuje widoczne znamiona materjalnego upadku.

Gdzie grozi klęska, tam niema innego sposobu, jak bronić się i to bronić się konsekwentnie, do upadłego. A nie potrzeba dowodzić, że konsekwentna, skuteczna obrona wymaga pełnego zrozumienia sytuacji, organizacji, dyscypliny zbiorowej i odpowiedniej taktyki. Gdy zaś nadto chodzi o obronę wyższej kultury i większego stanu posiadania, to obrona tych czynników wymaga imperatywnie także i szerszego horyzontu. Niepodobna w XX-tym wieku bronić skutecznie gospodarczej i cywilizacyjnej roli

większych prywatnych warsztatów rolnych z wąskiego kręgu widzenia partykularnego podwórka. Tak bowiem krótkowzrocznie i egoistycznie nastawiony obrońca wywoła tylko śmiech powszechny i będzie miał zrzeszony automatycznie front całej opinji publicznej przeciw sobie.

Wydaje się to niby jasnem i oczywistem w postępowej epoce, w której żyjemy. A jednak szeroki ogół naszych ziemian — z nielicznymi tylko wyjątkami — rozumuje mniejwięcej w ten sposób: Co mnie tam obchodzą jakieś wzniosłe kwestje zbiorowe i przyszłościowe, kiedy ja mam do zapłacenia natychmiast, jutro, pod grozą egzekucji, cały szereg podatków i innych świadczeń, a w tym celu muszę rozbijać się o gotówkę, której mi brak!

Tak myśli niemal każdy, a na wszelkie wezwania do jakiejś celowej akcji zbiorowej, na wszelkie przedkładane mu programy i argumenty o nieco wyższym poziomie, odpowiada stale: To wszystko bardzo piękne i słuszne, ale zamiast tego poradźcie mi lepiej, jak i z czego mam jutro zapłacić podatki, albo zdobyć kredyt!

Czyli, innemi słowy, ziemianin ów myśli tylko z dnia na dzień, od jednego terminu płatności do drugiego, a zbiorową akcję społeczną lub polityczną, a nawet zbiorową akcję gospodarczą traktuje na serjo tylko z tego punktu widzenia, w tej nadziei i w tem żądaniu, że mu ona jakąś niezwłoczną, doraźną, partykularną korzyść przyniesie. Wszystko inne traktuje z pobłażliwem lekceważeniem, jako „ideowe" i twierdzi, że na to brak mu czasu.

Oj, nie czasu mu brak — bo żaden człowiek na świecie nie ma stosunkowo tak wiele swobodnego czasu, jak przeciętny ziemianin, nawet najgorliwiej zajmujący się swym folwarkiem! Żaden inny zawodowiec nie jest w takim stopniu panem swego czasu, jak ziemianin. Każdy miejski człowiek, zatrudniony w jakiejkolwiek obowiązkowej pracy zawodowej, zależy w swym rozkładzie zajęć z dnia na dzień od godzin obowiązkowego urzędowania

i rzadkich urlopów. Ziemianin zaś, mimo ogółem najintensywniejszej nawet pracy, zwłaszcza w pewnych porach roku, może ostatecznie układać sobie zajęcia swe i wyjazdy, jak mu się podoba.

Z drugiej strony ogół ziemiaństwa polskiego, złożony z ludzi wykształconych, często nawet bardzo wykształconych, zdaje sobie chyba doskonale sprawę z roli i zadań stanu ziemiańskiego w państwie i z niebezpieczeństw różnorakich, społecznych i gospodarczych, jakie mu grożą i jakie nawet już bezpośrednio kruszą jego egzystencję. Uświadamia sobie niewątpliwie fakt, że w miarę upadku stanu ziemiańskiego, będącego do niedawna największą ostoją wiary, patrjotyzmu i wysokiej kultury, traci Polska bardzo wiele. A jednak — mimo tego przeświadczenia, opartego na długiem doświadczeniu dziejowem — ucieka szeroki ogół ziemiaństwa od zbiorowej pracy publicznej, zasłaniając się coraz częściej wymówką „człowieka interesu", mianowicie: nawałem zajęć codziennych. A ta właśnie wymówka obniża intelektualnie i towarzyski poziom stanu ziemiańskiego do bardzo przeciętnego poziomu zwykłego businessmana. Ilekroć wzywa się ziemiaństwo pewnego okręgu do jakiegoś szczytniejszego zadania, niż operacje wekslowe lub kwestja zasiewu, zbioru, hodowli, młyna, czy gorzelni, tyle razy słyszy się zdawkową wymówkę: Ja przecież sieję zboże, a skoro chleb jest niezbędny dla państwa, przeto i ja jestem niezbędny i spełniam dostatecznie mój obowiązek! Niestety, zapominają przytem nasi ziemianie, że siać zboże i dostarczać chleba może całkiem dobrze ktoś inny, że więc wcale nie hreczkosiejstwo uzasadnia w dzisiejszej epoce użyteczność warstwy ziemiańskiej dla kraju i społeczeństwa, ale coś całkiem innego: wysokie pojęcie obowiązków państwowych i wysoka kultura. Zapoznanie tej moralnej swej roli, tych ogólnych wobec kraju obowiązków, a natomiast jednostronne skierowanie swych zadań i pożądań na arenę gospodarczą — gdzie notabene

często tylko pośrednio pracuje przez rządców, administratorów, czy pełnomocników—czyni stan ziemiański w obecnej, bardzo trzeźwej i mocno zdemokratyzowanej dobie coraz zbędniejszym dla organizmu społecznego. A biada temu człowiekowi lub temu stanowi, który zbędnym dla innych się staje!

Z tego realnego stanu rzeczy nie wielu z naszych ziemian zdaje sobie dokładnie sprawę. Stwierdzam to nietylko na ogólnej obserwacji krajowych stosunków, alei jako uczestnik nieskończonej serji zebrań i zbiorowych rozmów ziemiańskich wszelkiego rodzaju. Co tylko nie jest dla dzisiejszej braci ziemiańskiej najbezpośredniej aktualnem i piekącem, co nie dotyczy jakiegoś pilnego buisinessu na dzień dzisiejszy lub następny, co wprawdzie grozi w najbliższej przyszłości, ale co na razie nie spadło jeszcze na karki miażdżącem ciężarem, to wszystko jest w gruncie rzeczy obojętnem — „ideowem“. A gdy nawet, pod wpływem gorącego przemówienia jakiegoś miejscowego autorytetu, zgodzą się bracia ziemianie na konieczność jakiejś szerszej akcji, która ma podnieść prestiż stanu ziemiańskiego w danym okręgu, to powierzają „z zaufaniem“ cały ciężar danej akcji jakiemuś „ideowemu“ kozłowi ofiarnemu z pośród siebie (w każdym okręgu znajdzie się jeszcze taki kozioł ofiarny), poczem każdy wraca jak najśpieszniej do swych bieżących spraw i interesów prywatnych.

W takim stanie umysłów i niesłychanie wąskiego horyzontu nie może zaktywizować się ogół stanu ziemiańskiego do żadnej szerszej, masowej akcji, któraby właśnie swym charakterem masowym, a więc żywiołowym, zaważyć mogła na serjo na losach państwa, gospodarstwa krajowego, a samego stanu ziemiańskiego w szczególności. A przecież warunki bieżącego wieku takiej właśnie akcji, takiego zainteresowania sprawami publicznemi i takiego rozszerzenia horyzontu działania od każdej warstwy społecznej i każdego stanu zawodowego wymagają, a zwłasz-

cza od najkulturalniejszych warstw w narodzie, które też stosunkowo najwięcej stać na żywy udział w sprawach publicznych i na konsekwentne przygotowanie swych losów w wielkich linjach i na dłuższą metę.

Niestety, dzieje się inaczej. Gdy np. niedawno proszony byłem o wygłoszenie jakiegoś przemówienia w gronie ziemian pewnego okręgu — i to w gronie naprawdę wielce kulturalnem i inteligentnem—to łamaliśmy sobie głowy z aranżerem tego zebrania nad delikatnym problemem, jakie tematy należałoby poruszyć, aby prawdziwe zainteresowanie wzbudzić. Między innemi, zaproponowałem bardzo obecnie aktualne i kraj cały obchodzące żywo zagadnienie ubezpieczeń społecznych, które ciążą nad społeczeństwem przymusowo narzuconym głazem. Otrzymałem odpowiedź, że ta sprawa nie wywoła zainteresowania, bo ziemiaństwo mniej ma z tem doczynienia, niż dawniej. Mentalność czysto „człowieka interesu". Ponieważ dana rzecz jest dla danego stanu na razie mniej ciężką, niż dla całej reszty społeczeństwa, więc chociaż stanowi dla kraju wyraz etatyzmu, społecznego przymusu, niesłychanej biurokracji i nieznośnego ciężaru, to już najkulturalniejsza, historyczna warstwa narodu nie czuje do niej zaintersowania, nie chce się nią zajmować i nie widzi w zaślepieniu, że codzi tu o wyrwanie jednego z kamieni węgielnych demagogicznego ustroju, który na innych odcinkach dobrze się i ziemiaństwu daje we znaki.

Stanęło na tem, że można wygłosić przemówienie, albo o najnowszych sensacjach politycznych — dla płochej rozrywki zgromadzonej braci — albo o jakiejś detalicznej sprawie cen i kredytów. Zrezygnowałem z zaproszenia, odsyłając jednych do brukowych gazet, drugich do Izb rolniczych, a wszystkich razem do djabła!

Mojem zdaniem sedno trzeszczenia stanu ziemiańskiego w podstawach leży więc w tem, że przekreślając praktycznie — choć zapewne nie w ambicjach — swą główną rolę

historyczną, zamienia się na stan „ludzi interesu“, a ponieważ z tradycji, pojęć i kultury towarzyskiej ziemianin zręcznym businessmanem prawie nigdy być nie potrafi, więc dlatego wytrąca się wogóle ze swej roli i głębszej racji bytu w państwie. Staje się jakimś tworem dwoistym, ni tem, ni owem, a w rezultacie przez wszystkich i każdą konjunkturę bezwolnie naciąganym.

Dobre jest i niezbędne pańskie oko na folwarku, a zwłaszcza w kancelarji administratora lub pełnomocnika, dobrze jest chodzić za pługiem i umieć chodzić za pługiem — ale ziemianin polski, jako członek dużej, historycznej warstwy społecznej, musi pamiętać o tem, że nie wolno mu oddawać się jednostronnie chodzeniu za pługiem, bo głębsza racja jego bytu leży w żywem zajęciu się całokształtem spraw krajowych i zaważeniu na nich zbiorową, elementarną siłą. Jeżeli temu zadaniu sprzeniewierzy się w fałszywie pojętym ultra-realiźmie ekonomicznym, to i dążeń swych gospodarczych nigdy nie osiągnie i przestanie być elitą społeczeństwa, mimo forsownego podtrzymywania blasku herbownych salonów towarzyskich.

Elita narodu tworzyć się zacznie gdzieindziej...

A teraz inna materja — inna sprzeczność: rola szerokiej sfery niższego duchowieństwa.

Przypuśćmy, że jakaś osoba dobrej woli i posiadająca odpowiednie kwalifikacje pragnie zainicjować — nie szczędząc trudu i kosztów — w pewnym okręgu użyteczną akcję społeczną, całkiem bezinteresownie, w pewnych, dobrze określonych i zrozumiałych dla ogółu celach. Dzieje się to nieraz w okolicach, gdzie poziom szerszych warstw jest niski, moralność wiele pozostawia do życzenia, świadomość obowiązków obywatelskich równa jest zeru, stan gospodarczy też prymitywny, a więc szerokie i wdzięczne pole otwiera się dla pracy oświeconych osób dobrej woli.

Że w takich wypadkach lud ciemny stawia z początku pewien opór owej dobrej woli, to rzecz wprawdzie smutna,

ale w naszych rodzimych stosuneczkach częsta i zrozumiała. Chłop polski, pod wpływem atawizmu z czasów pańszczyźnianych, uważa każdą pożyteczną myśl ze strony „inteligenta“, a cóż dopiero „pana dziedzica“, za niebezpieczną lub conajmniej niepotrzebną pańską fanaberję. Idzie dopiero za widocznym, namacalnym cudzym przykładem, o ile przykład ten wyda mu się dobrym interesem. To więc nie stanowi dla doświadczonego działacza zniechęcającej przeszkody.

Nie stanowi jej nawet intrygancka kontrakcja różnych radykałów politycznych w danym okręgu, którzy cały swój kredyt polityczny opierają na niezadowoleniu mas i planowem utrzymywaniu ich w ciemnocie, występując przeciw każdej pożytecznej akcji, która może osłabić ich demagogiczny autorytet. Owszem, ewentualna walka ze złym wpływem żywiołów demagogji, ateizmu lub wywrotu stanowić może dla dzielnego działacza społecznego tem większą zachętę do pracy.

Ale sytuacja staje się niezmiernie przykrą, gdy przeciw użytecznej, spokojnej, nawet w duchu bezsprzecznie katolickim podjętej pracy społecznej występuje miejscowy ksiądz, z przekonań swych radykał, albo endek. Następuje wówczas jakgdyby sytuacja, o której mówi Ewangelja w przykładzie o królestwie, rozdzielanem przeciw sobie.

Przypuśćmy bowiem, że ów inicjator jakiejś użytecznej akcji — nie mającej zresztą żadnych politycznych celów — nie należy do endecji, której natomiast miejscowy proboszcz lub wikary jest gorącym, zacietrzewionym zwolennikiem. Cóż się dzieje? Inicjator, człowiek kulturalny, dobrze wychowany, składa księdzu wizytę, prosząc o ewentualne poparcie przy okazji danej sprawy. Nie wymaga od niego nawet żadnej współpracy, ani fatygi, lecz tylko życzliwego nastawienia. Spotyka się z bezwzględnym lub conajmniej biernym oporem. Każdy endek bowiem, nawet w sutannie kapłańskiej, nie uznaje z zasady niczego,

co nie pochodzi od endecji. Taki ksiądz więc, nawet wówczas, gdy dana sprawa w niczem jego endeckich przekonań nie uraża i nie dotyczy, uważa ją zgóry za zdrożną, bo wdrożona została nie przez endeka, bez aprobaty jakichś endeckich autorytetów partyjnych. A to już wystarcza, aby wywołać rozdwojenie w umysłach ludu i dać mu próbkę walki między katolicką plebanją, a niemniej katolickim dworem, chociaż lud okoliczny wie nieraz dobrze, że miejscowy kościół i plebanja ufundowane zostały staraniem i kosztem tegoż dworu, jeżeli nie w obecnem, to w poprzedniem pokoleniu, a ksiądz gospodaruje na ziemi, darowanej na ten cel przez pobożnego dziedzica, jego ojca lub dziada.

Ale to wszystko w oczach endeckiego księdza nic nie znaczy, skoro obecny dziedzic — czy inny działacz z miejscowej inteligencji — nie jest zaprzysiężonym endekiem, nie głosuje na endecką listę i nie wychwala bez zastrzeżeń polityki „narodowej" we wszystkich jej pociągnięciach, wyczynach i szczegółach. Na wszystkie więc argumenty inicjatora danej akcji społecznej pozostaje głuchym taki duszpasterz, a natomiast zwołuje tajny wiec mężczyzn lub kobiet i z całym swym autorytetem nakazuje im trzymanie się zdala od akcji, jako rzekomo antynarodowej, żydowsko-masońskiej, wymyślonej przez „piłsudczyków", a więc zmierzającej do „rozbicia jedności ludowo-narodowej" i wprowadzenia bezbożnictwa.

Prawdziwie dzielnego inicjatora, czującego zresztą najlepiej po katolicku i narodowo — w ogólnem, nie partyjnem tego słowa znaczeniu — taka kontrakcja politycznie zacietrzewionego księdza wcale nie odstręczy. Kto ma wiarę w słuszność swych intencji, tego nie odstraszą żadne przeszkody. Ale kto traci na takiej taktyce duszpasterskiej w rzeszach świeckich? Nie Kościół, bo lud wie, że go bramy piekielne nie przemogą. Traci bardzo znacznie autorytet niższego duchowieństwa, stykającego się bezpośrednio z ludem. Nadszczerbiony zostaje ten autorytet w ca-

łym kraju, we wszystkich warstwach społeczeństwa, zwłaszcza, że często nietylko na wsi postępują księża w ten sposób. Ludzie zdają sobie przecież sprawę z tego, że taki rozpolitykowany ksiądz inaczej mówi z ambony, a inaczej w codziennem życiu postępuje. To też słowa nauczycielskie takiego kapłana, głoszone z kazalnicy: *Miłuj bliźniego!* — wywołują na słuchaczach mimowolne wrażenie, że, kaznodzieja chce właściwie powiedzieć: *Miłuj endeka!*

Tu leży też źródło rozpowszechniającego się niestety wśród coraz szerszych sfer hasła, czy nawet przekonania, że co innego Kościół, a co innego księża. Zapewne, księża są ludźmi i ludzkie muszą wykazywać usterki, co jeszcze autorytetu ich kapłańskiego nie narusza. Każdy to rozumie. Ale ten pogłębiający się przedział w wielu umysłach między Kościołem, a kapłanem jest niezmiernie niebezpieczny dla utrzymania głębszego katolickiego charakteru Polski, a zarazem wodą na młyn indyferentyzmu i ateizmu. Ileż to razy spotykam się z ironicznem zdaniem indyferentystów: No, na katolickość Polski możnaby się zgodzić, katolicyzm zawiera wiele zasad wzniosłych i prawdziwych, ale ci księża, ci księża! A z wieluż to ust katolików słyszę opinję: Jestem szczerym katolikiem, ale stanowczo antyklerykałem!

A trzeba zważyć, że wyrażenie anty-klerykał ma obecnie całkiem inne, niż dawniej, bo daleko szersze znaczenie.

Ta więc niejako antyteza, jaką zachowanie się rozpolitykowanych, partyjnie myślących księży wywołuje w pojęciach wiernych i wogóle w postaci mimowolnego przeciwstawiania kapłana Kościołowi, jest najoczywistszym, bezspornym rezultatem opanowania bardzo znacznej części duchowieństwa przez polityczną partję endecką i monopolizowania w jej rękach zarówno katolicyzmu, jak i wszelkiej działalności pobożnej lub o charakterze ogólnej użyteczności społecznej. Rzecz niesłychanie niebezpieczna,

z wyraźnie ujemnym skutkiem dla pozycji Kościoła katolickiego w Polsce, gdyż proskrybowani przez księży-endeków nieendecy czują się już przez to samo bliżsi nawet sferom nie katolickim, religijnie obojętnym, ale w sprawach przekonań obywatelskich więcej tolerancyjnym.

Pojąć nie mogę, dlaczego miarodajne u nas czynniki kościelne, którym ta ujemna ewolucja stosunków w Polsce obcą przecież być nie może, nie zaingerują energicznie i skutecznie, aby rozpolitykowanie księży zahamować, a zwłaszcza ową nieprzejednaną, nietolerancyjną endeckość u nich wyplenić! Stając bowiem nawet na stanowisku księdza-endeka, tak jednostronna taktyka nie da się żadną miarą pogodzić z jego powołaniem. Jeżeli nawet w zacietrzewieniu swem partyjno-politycznem — co już samo przez się mija się z powołaniem kapłańskiem — uważa wszystkich nieendeków za słabych lub niepewnych katolików, to misją jego jest właśnie do nich się zbliżyć i w imię prawdziwej miłości bliźniego, w imię nadrzędnego autorytetu Kościoła stanąć wśród nich i popierać każde ich usiłowanie charytatywne lub mające wogóle charakter użyteczności ogólnej, a nie sprzeczne z zasadami Kościoła. Przecież św. Piotr otrzymał misję wyraźnie do pogan, a nietylko do Żydów. Tym więc przynajmniej duchem powinien być owiany ksiądz-endek, nawet ze swego wąskiego, partyjno-politycznego punktu widzenia. Niestety, nawet i z tej swojej platformy postępuje inaczej.

Krzywdę wyrządza duch endecki Kościołowi katolickiemu w Polsce. Wielu, bardzo wielu katolików nie endeków chciałoby współdziałać w różnych katolickich organizacjach religijnych, charytatywnych i społecznych. Mogliby różnymi swymi walorami i szczerym zapałem sprawie umacniania wiary i życia katolickiego ogromnie się przysłużyć. Wszak są ich miljony w kraju. Niestety, organizacje te katolickie są w bardzo znacznej części tak opanowane przez endecję — chociaż głośno tego się nieraz wy-

pierają — że katolik o innych przekonaniach świeckich, nawet bardzo umiarkowanych i niezajmujący się bliżej polityką, czuje się odepchnięty od nich i drogę widzi do nich zamkniętą. Endecy bowiem, którzy w nich de facto, choć niby nie de nomine panują, uważają, że cześć Boga jest nierozerwalną od bałwochwalczej czci endeckich menerów.

Co więcej, wężowa polityka endecji wytworzyła nowy typ człowieka o specjalnych niby przekonaniach. Jest wielu gorliwych propagatorów katolicyzmu, zajmujących wybitne stanowiska w życiu katolickiem, którzy na pytanie, do jakiej partji należą, odpowiadają wyniośle: Ja nie jestem żadnym endekiem, jestem tylko katolikiem, a katolicyzm, to przecież światopogląd, który wszystkie dziedziny życia ujmuje!

Bardzo to piękne, tylko, że od takiego „politycznego katolika" wieje endecją na trzy mile dokoła, a jego nietolerancja i jakaś przedziwna ostrość i ekskluzywność poglądów odpycha ludzi od niego, jak od jeża...

Nie, w takiej postaci prawdziwy katolicyzm nie występuje! On idzie z ujmującem gestem do każdego, nawet do — żyda! Na tem przecież polega miłość chrześcijańska.

Pamiętam, jak to raz w kwestji pewnego wydawnictwa katolickiego, powszechnie pożądanego, zwróciłem się z propozycją współdziałania do jednego z takich „firmowych katolików", zajmujących w organizacjach katolickich bardzo wybitne stanowisko. Chodziło o utworzenie czysto katolickiego, nadpartyjnego komitetu, którvby tę rzecz przeprowadził. Z widocznem zdziwieniem odpowiedział mi ów jegomość: „Dziwi mnie, że pan się do mnie z tem zwraca!"" Nie zrozumiałem w pierwszej chwili tej repliki, potem dopiero zaświtało w mojej prorządowej bezinteresowności, że ów wielki katolik jest poprostu endekiem, a ponieważ przez to i katolickich spraw nie jest wstanie traktować inaczej, jak partyjnie, więc zdziwił się, że prorządowiec może mieć na tyle bezinteresowności poli-

tycznej w sprawach religijnych, żeby chcieć pracować dla wzmacniania Wiary wspólnie z polityczno-katolickim endekiem!

Faktem jest niezbitym, że mamy obecnie, dzięki endeckiemu zacietrzewieniu, dwa katolicyzmy w Polsce: prorządowy i antyrządowy. Imperatywem zaś egzystencji i autorytetu katolicyzmu w Polsce jest zniesienie tej dwutorowości. Kto wie nawet, czy przy głębszem zbadaniu sprawy nie wyszłoby na jaw, że więcej jest prawdziwych katolików prorządowców, niż po stronie endeckiej.

O ile się orjentuję, to rząd i sfery prorządowe, nawet najbardziej po katolicku myślące, wcale nie marzą o zmonopolizowaniu katolicyzmu w swym szerokim obozie. Pragną tylko poprostu powszechności katolicyzmu, oddania władzy nad nim integralnie, bez reszty i zastrzeżeń, jedynie powołanemu do tego czynnikowi — Kościołowi. Endecja myśli inaczej, uważa katolicyzm za swój monopol partyjny. I dlatego albo ona musi w tem ustąpić i wynieść się z zakrystji na wiece wyborcze, gdzie jej właściwe miepsce, albo — katolicyzm, rozdzielony w Polsce politycznie przeciw sobie, musi ponieść poważne szkody.

Bo odpowiedzią, naturalną reakcją na działalność zacietrzewionego księdza-endeka jest wzrost tendencji areligijnych i organizacji patrjotyczno-bezwyznaniowych. Najmniejszej nie ulega wątpliwości, że areligijne lub wprost nawet antyreligijne tendencje w niektórych organizacjach młodzieży prorządowej — zresztą przez rząd zwalczane — są w bardzo znacznej części reakcją przeciw monopolowi katolicyzmu, uprawianemu przez endecję. Jestem głęboko przekonany, że gdyby katolicyzm w Polsce wyrwał się z politycznych więzów endecji i stał się czynnikiem naprawdę nadrzędnym, to działalność żywiołów bezwyznaniowych zmniejszyłaby się bardzo znacznie. Zaiste, przy panującem rozdwojeniu wśród katolików niepodobna wielu doniosłych zamierzeń dla wzmocnienia katolickich

podstaw państwa naszego dokonać, a nawet zainaugurować. Minęły niestety czasy, kiedy tacy kapłani, jak ks. Boduen, umiał zbierać złoto na doniosłe, zbożne dzieło nawet od religijnie obojętnych karciarzy! Dziś każdy boi się, że dając datek na jakąś katolicką sprawę, wzmacnia w gruncie rzeczy przedewszystkiem partję endecką, z dziełami katolicyzmu nazbyt u nas splątaną.

Między innemi, niepodobna z tego właśnie powodu doprowadzić do skutku tak potężnej dla katolicyzmu w Polsce dźwigni, jaką stanowiłby niewątpliwie duży dziennik, integralnie i nadrzędnie katolicki, o co Nasza Przyszłość na swych łamach od dłuższego czasu walczy. Realizacja tego, rzeczywiście doniosłego dzieła — poza stosunkowo drobniejszemi trudnościami natury finansowej i technicznej — hamowana jest głównie świadomością ogółu, że dziennik taki, mimo reklamowania się nadpartyjnością, byłby w panujących u nas warunkach w istocie partyjno-endeckim. Jedni więc nie chcą dziennika katolickiego, obawiając się jego endeckości, partja zaś endecka także innego katolickiego dziennika nie chce, jak tylko takiego, w którym rządziliby suwerennie endecy i robili bojowe wypady przeciw wszystkiemu w kraju, co nie jest endeckie i nie służy celom „narodowym".

Dzisiejsze czasy, w których moralność i etyka tak nisko upadły, kiedy tak poważne grożą zewsząd Kościołowi niebezpieczeństwa, kiedy obojętność religijna, bezwyznaniowość, a nawet wprost wrogie religji zakusy szerzą się wszędzie, kiedy pojęcie nowoczesne patrjotyzmu utożsamia się w ustach wielu z negacją Boga, a natomiast z jakimś bałwochwalczym kultem skrajnego egoizmu państwowego lub narodowego — w takich czasach stanowcze, głębokie odpolitykowanie szerokich sfer duchowieństwa staje się kategorycznym imperatywem. Może każdy poszczególny obywatel na platformie swoich świeckich przekonań odnosić się pozytywnie lub negatywnie do danego skła-

du rządu, danego ministra lub innego świeckiego dygnitarza. To zrozumiałe. Ale nieznośnym i niedopuszczalnym jest taki stan rzeczy, żeby katolik, jakichkolwiek przekonań politycznych, odczuwał mimowoli nieufność wobec kapłana, jako zaangażowanego lub nawet zacietrzewionego w jakiejś partyjnej polityce, którą rządzą nieraz ludzie, firmujący się wprawdzie rozgłośnie katolicyzmem, ale którzy w gruncie rzeczy może już nawet zapomnieli, jak kościół wewnątrz wygląda. Tacy to menerzy, wielcy spryciarze pióra, wymowy i gestu, dla których religja nieraz tyle jest warta, co szyld firmowy, dostają pod swój wpływ szerokie sfery duchowieństwa niższej, a może i średniej hierarchji — z wielkim oczywiście uszczerbkiem dla autorytetu religji, a przedewszystkiem samego duchowieństwa. W takich warunkach nic dziwnego, że głos księdza, występującego w jakimś wypadku może słusznie przeciw ateistycznym enuncjacjom jakiejś organizacji, firmującej się prorządowością, nie może mieć żadnego znaczenia, gdyż każdy uważa mimowoli wystąpienie takie za wypad endecji przeciw rządowi i państwu, choćby to wystąpienie wyszło nawet w szatach liturgicznych z ambony.

Ksiądz-endek, jak i radykalnie nastrojony ksiądz ludowiec, zniknąć muszą z Kościoła w Polsce pod sankcją zaniku zaufania do duszpasterstwa wogóle. Misją duchowieństwa jest reprezentować Kościół na ziemi, a nie partje polityczne, które wszak zbyt często opierają się na wprost nieetycznych założeniach i podstawach. Duchowny, skoro już poświęcił się swemu zawodowi i powołaniu, musi zerwać szczerze z wszelkiemi sympatjami partyjnemi i stanąć na stanowisku wyższem, nadrzędnem. Jeżeli nie jest wstanie spełnić tego warunku, jeżeli z błędnego wychodzi założenia, że kapłan, działający wśród ludu, winien zyskać sobie przedewszystkiem polityczną popularność wśród swych owieczek, to niech nie wstępuje do stanu kapłańskiego, bo źle przysłuży się sprawie religji i Kościoła!

Właśni stronnicy polityczni lekceważą w istocie takiego księdza, podległego także i w ich oczach nietyle biskupowi, ile przedewszystkiem menerom partyjnym.

A świeccy wyznawcy „światopoglądu katolickiego“ niech nie obniżają sztucznie tego światopoglądu do pospolitego partyjnego poziomu, odpychając z dumą bliźniego swego nieszczerem twierdzeniem, iż rzekomo „nie są ani konserwatystami, ani endekami, ani czemkolwiek innem, tylko katolikami!“ Takie twierdzenie jest nieistotne, fałszywe i nieszczere, gdyż przekonania katolickie nie mają nic wspólnego z przekonaniami politycznemi, nie są im równorzędne i na całkiem innej wyznawane być muszą platformie. Kościół wcale nie zakazuje wyznawać katolikom różnych świeckich przekonań politycznych, o ile oczywiście nie opierają się one na jakiejś doktrynie, przeciwnej dogmatom Wiary i etyki, przez Kościół głoszonej. A już w żadnym razie nie leży w intencjach Kościoła, żeby firmowi świeccy wyznawcy katolicyzmu odnosili się z jakąś niezrozumiałą dumą i ekskluzywnością do bliźnich swoich i wywoływali w ich umysłach wrażenie raczej odpychające, niż przyciągające.

Otóż na tem miejscu ważna zachodzi kwestja, czy skrajny nacjonalizm, jaki reprezentuje endecja, tak głęboko zakorzeniona w szerokich sferach duchowieństwa, może godzić się i iść równolegle z prawdziwą ideą katolickiego Kościoła? Wszak, jak to wszędzie widzimy, nacjonalizm płodzi i musi płodzić uczucia nienawiści bliźniego. W tem jego podstawa, jego racja bytu. Potępił też Papież wyraźnie tę doktrynę we Francji, jako niezgodną z ideą miłości chrześcijańskiej, i jako wzmacniającą prawem reakcji masonerję i ruch antyreligijny wogóle. W Polsce potępienie to jeszcze nie nastąpiło, może dlatego, że u nas ruch nacjonalistyczny na łamach prasy swej tak jaskrawo, jak we Francji, jeszcze się nie ujawnił. Redaktorzy są ostrożni. Ale ujawnia się zato tem jaskrawiej w słowach i czy-

nach, jak naprzykład występy tego rodzaju, które słyszeliśmy swego czasu w bardzo kulturalnych salonach wśród niewątpliwie szczerych katolików: „No, od dziś dnia czuję się dopiero naprawdę Polakiem!“ A było to w dzień zamordowania Prezydenta Narutowicza...

Z tem trzeba raz skończyć. Katolicyzm nie może zamieniać się — ku uciesze ateistów — w swą karykaturę w rękach zacietrzewionego nacjonalizmu. Kapłan katolicki, mimo wszelkich oficjalnych zaprzeczeń, nie powinien być dłużej w pojęciach swych owieczek mimowoli synonimem endeka. Kościół w Polsce, a raczej ściśle mówiąc: polskie duchowieństwo winno stanowczo zerwać wszelki nawet pozór sympatji do obozu politycznego nacjonalizmu.

Powinien ukazać się List Pasterski zbiorowy, potępiający w sposób zdecydowany ideologję stronnictwa nacjonalistycznego tak, jak się potępia doktryny socjalistyczne. A wśród szerokich sfer duchowieństwa konieczną jest głęboka, energiczna reforma w tym duchu, aby znikł powód nieufności do kapłana i mimowolne lekceważenie jego doniosłej misji w społeczeństwie.
